

Barbara Koterwas

„LATARNIA”

Przygotowała do druku

Anastazja Śniechowska

Biblioteka „Scriptores Scholarum”

Arkusze wspomnień

Redaktor

Sławomir J. Żurek

Książka dotowana przez

Zakłady Chemiczne „PERMEDIA” SA – Lublin

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

„Norbertinum”

LUBLIN 2000

©Copyright by Tomasz Bylica, 2000

Projekt okładki, grafika ZBIGNIEW JÓŻWIK

Skład systemem TEX PIOTR KŁOSOWSKI

ISBN 83-905358-4-X – Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr INN”

ISBN 83-7222-038-7 – „Norbertinum”

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin

tel. (081) 532-58-67, fax (C81) 534-61-10

e-mail: scriptor@tnn.lublin.pl

<http://www.tnn.lublin.pl>

„Norbertinum” Spółka z o.o.

Wydawnictwo–Drukarnia–Księgarnia

ul. Księżycowa 15, 20-060 Lublin

tel./fax (81) 533 38 95, e-mail: norbertinum@norbertinum.com.pl

<http://www.norbertinum.com.pl>

Przedmowa

Barbara Koterwas, urodzona 4 grudnia 1912 roku, była samoukiem. Człowiekiem ogarniętym wielką pasją społecznikowską i pasją tworzenia teatrów amatorskich. Wierzyła w magię sceny, która wychowuje i aktora, i widza. Zmarła 20 grudnia 1983 roku.

Na kilka lat przed śmiercią, zachęcona przez przyjaciół, zaczęła spisywać wspomnienia, korzystając przy tym z gromadzonej latami dokumentacji pracy zespołów (programy, scenariusze, recenzje), co wyraźnie zaważyło na charakterze tekstu.

Jako pierwsze powstało wspomnienie o działalności zespołu „Latarnia”. Potem stopniowo, w kolejności dość przypadkowej, teksty o innych zespołach. Na końcu autorka opisała dzieciństwo i czas okupacji. Całość ukończona z początkiem roku 1983 została uporządkowana chronologicznie.

Fragmenty tego interesującego pamiętnika były publikowane w „Biuletynie Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie” 1984 r., XIII, nr 1–2, s. 11–15 i „Scriptores Scholarum” 1998 r., VI, nr 1 (18), s. 56–66.

Danuta Kłosowska

Dzieciństwo

– Pamiętam... – zaczynali każdą historyjkę ze swego dzieciństwa moi przyjaciele zebrani z okazji imienin. Licytowali się opowiadaniem o figlach ze szczenięcych lat. Ktoś zapytał:

– A solenizantka? – Basiu teraz twoja kolej. – Moje dzieciństwo było całkiem inne...
– powiedziałam niepewnie. Dzwonek spóźnionego gościa uratował mnie z opresji.
Zmieniono temat.

* * *

A było tak. Do siódmego roku życia bawiłam się beztrąsko z rówieśnikami. W ósmym roku zaczęły się bóle kręgosłupa. Ataki powtarzały się parę razy na tydzień. Temperatura dochodziła do czterdziestu stopni. Trwało to kilka lat. Najgorsze były ranki, po południu bóle mijały, temperatura opadała, wracał humor. Choroba robiła postępy odbierając władzę w nogach. Lekarze nie rokowali poprawy. Moja Matka wierzyła w siły ozdrowieńcze słońca i powietrza. Aby wykorzystać każdy promyk słońca przesuwała moją leżankę od okna do okna. Wierzyłam, że wrócę do zdrowia. Czekałam.

Mieszkałam na Bronowicach, wówczas przedmieściu Lublina, w sąsiedztwie rzemieślników, robotników fabrycznych, przekupni. Nie brak było także łobuzów i złodziejasków. Dzielnica ta nie miała bitej jezdni ani trotuarów. Wodę czerpano ze studni, które były na każdym podwórku. Ulice oświetlone lampami elektrycznymi, ale w mieszkaniach przeważało światło lamp naftowych. Popiół, odpadki, brudną wodę wynoszono na brzeg łąki między łopiany.

Nasza czteroosobowa rodzina zajmowała jednoizbowe mieszkanie w parterowym domku u zbiegu ulic Bronowickiej i Składowej. W posesji tej mieszkało osiem rodzin w lokalach podobnych do naszego. Narożnik ulic był ulubionym miejscem spotkań, wymiany poglądów politycznych, plotek, flirtów, zwierzeń, kłótni i bijatyk.

Lubiłam widok z okna na zachód. Na pierwszym planie olbrzymie łopiany, za nimi ciągnące się daleko łąki i piękna panorama Lublina z licznymi wieżami i wieżyczkami kościołów, których dzwony słyhać było doskonale aż tutaj.

Nie nudziłam się. Z pasją obserwowałam ludzi. Patrzyłam. Słuchałam. Zastanawiałam się, jak zachowa się za chwilę człowiek przeze mnie obserwowany. Miałam swoje sympatie. Budowałam własny świat. Czasem ten i ów przystanął przy oknie, aby ze mną pogwarzyć. Odpowiadałam krótko, jasno, zdarzało się, że dowcipnie. Nieraz usłyszałam głośno wypowiedaną opinię: „Nasza Basiunia nie jest całkiem głupia”. Szukałam sposobu przekonania wszystkich, że bezwład nóg to nie zanik mózgu. Matka nie pozwalała mi wdawać się w dyskusje z dorosłymi. Tłumaczyła: „Dziewczynka dobrze wychowana nie może zaprzeczać dorosłym”. Wcale nie chciałam być dobrze wychowana. Tłumiłam wewnętrzny bunt; żeby nie robić przykrości Matce.

Pod drugim oknem, które wychodziło na podwórkę, przystawały sąsiadki. Te wydziwiały:

– Jakie to chude! – Albo zastanawiały się: Za czyje grzechy... i rokowały: Nasza Basiunia już tylko patrzeć... – pobożnie przy tym spoglądały w niebo. Kiedy szły załatwiać coś ważnego, wyciągały rękę i prosiły:

– Basiuniu, pomacaj na szczęście! – Lubiłam występować w roli dobrej wróżki.

W trosce o mój rozwój umysłowy Matka zapraszała dzieci w moim wieku, aby u nas odrabiały lekcje. Taka zabawa w szkołę. Nasi goście opowiadali o czym pani w szkole mówiła i co zadała. Matczysko dbało o to, abym pierwsza wypowiadała się na temat zadanych lekcji. Rozwiązywałam zadania, dyktowałam wypracowania domowe – różne dla trzech dziewczynek. Chętnie przychodziły. Po odrobieniu lekcji dostawałyśmy smakołyki: owoce, kisiel, karmelki. Po odejściu dziewczynek Mama czytała, co było zadane do opanowania pamięciowego, ja opowiadałam. Powtarzając za Matką uczyłam się wierszy, gramatyki, przyrody, geografii. W ten sposób przerobiłam program siedmiu klas szkoły powszechnej.

Sama nie czytałam. Lekarz zabronił – temperatura, wzrok – nawet rysować mi nie pozwolił. A miałam piękne kredki ołówkowe, prezent od ciotki. Czytać nauczyłam się jeszcze przed chorobą od starszych dziewczynek, które z ciasnych mieszkań wychodziły na podwórkę odrabiać lekcje. Pisały klęcząc przy stołku, albo siadały na progu sieni i czytały z książki trzymanej na kolanach.

Nie pamiętam, skąd się wziął młody lekarz, pan Szulc. Poleciał gimnastykę i masaże, aby nie zanikły mięśnie. On jeden zapewniał:

– Wstaniesz i będziesz chodzić – a po chwili dodawał – Trzeba silnego wstrząsu nerwów. Tylko wstrząsu.

Przychodził kilka razy w tygodniu, klepał, masował. Interesowało go jak spałam, co jadłam, jaki mam humor. Cieszył się, że już czuję, którą stopę mi drapie. Wysoka temperatura występowała rzadziej.

Podczas choroby zdarzyło mi się przeżyć chwilę grozy. Pod moim oknem dwu pijanych mężczyzn zaciekle się biło i szarpało. Jak zwykle w takich wypadkach zamknęłam oczy i już. Wtem zatrzęsło się i posypało! Otworzyłam oczy. Spojrzałam. W ścianie po łokcie tkwił człowiek. Uwięziony złorzeczył i szamotał się, usiłując wydostać się z matni. Ściana trzeszczała. Wznosiły się tumany kurzu. Wszystko w mieszkaniu pokrył pył. W oczach, w zębach kurz. Wreszcie, przy ogólnej wesołości zebranych gapiów, wyciągnięto go. Wyrwa w lepiance wzbudziła zainteresowanie. Zebrani mężczyźni opukiwali, obmacywali ścianę, walili pięścią dokoła otworu.

Dziurą wbiegł pies. Obwąchiwał dokładnie kąty i sprzęty. Matka, wracając, miała zwyczaj zagadywać do mnie przez okno od podwórka. Tym razem zobaczywszy zbiegowisko, zwalisko i psa, krzyknęła. Piekło! Pies ujadając szczyrzył zęby to na mnie, to na Matkę w oknie. Żadne „pójdziesz!” i do „budy!” nie odnosiły skutku. Pies czuł się osaczony. Szukając wyjścia wielkimi, zamaszystymi susami wzniecał kurz. Ktoś znający zwierzaka zwabił go wreszcie do otworu w murze. Do dzisiaj boję się wilczurów. A dziura? Właściciel domu, pan Antoni Okoń, przyniósł glinę, wymieszał z wodą, a zarzucając otwór wciskał w papkę kawałki drewna, klepał i muskał z przejęciem, wreszcie obielił front domu i na wieczór było po remoncie.

Najgorzej było z tym wstrząsem. Po pijaku w dziurze i przygodzie z psem Matka z sąsiadką usiłowały postawić mnie na nogi. Nie udało się! Trzymana pod ramiona „przeciekałam” przez ręce. Śmiałam się histerycznie i miały kłopot z położeniem mnie do łóżka. To jeszcze nie był ów oczekiwany wstrząs.

Zaczęli działać życzliwi. Nawiedzały mnie duchy w prześcieradłach, zjawy ze świeczką wstawioną w środek dyni, a mój lekarz zaimprovizował pożar – jakaś kombinacja z magnezji i dużo dymu. Wspaniały człowiek, ale zdolności aktorskich to on nie miał. Grał przerażonego tak śmiesznie, że zamiast się złęknąć, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Główny aktor śmiał się ze mną.

Prawdziwy wstrząs przyszedł niespodziewanie. Któregoś dnia ojciec wrócił do domu pijany. Nie bałam się, nie było to nic nowego, zdarzało mu się często. Po wódce nigdy nie wszczywał awantur. Przeciwnie, był wylewny i zawsze rycerski. Byłam w domu sama. Chciał podejść do mojej leżanki, stracił równowagę, zatoczył się i leciał wprost na mnie. Chciałam krzyknąć, ale strach ścisnął mi gardło, oblał mnie zimny pot, zamknęłam oczy czekając,

kiedy swoim ciężarem połamię mi kości. Nie zgniótł mnie. Oparł się ręką o ścianę. Byłam ocalona. W całym ciele poczułam przyjemne mrowienie.

Na drugi dzień Matka wybiegła na podwórze do płaczącego Zdziśka, mojego młodszego brata¹. Zobaczyłam, że stojące na płycie mleko zaraz wykipi. Zapomniałam o swoim bezwładzie. Zerwałam się z łóżka. Matka zastała mnie stojącą bezradnie. Zrobiłam krok w jej kierunku. Zupełnie wyczerpaną zaniosiła mnie na leżankę. Radość była nie do opisania! Lekarz kazał opowiadać sobie kilka razy, jak to było. Nie wiem, kto z nas wtedy był najszczęśliwszy – Matka, lekarz czy ja. Po ośmiu latach mój pierwszy krok w nowe życie! Był to dzień 4 lipca 1928 roku.

Długo trwał powrót do całkowitej sprawności fizycznej. Doktor Szulc nie pokazał się więcej. Szukałam go przed wojną i po wojnie wędrując z moimi teatrami. Przemierzając Polskę pytałam w każdej napotkanej aptece, szpitalu, szukałam w książkach telefonicznych w miastach i w miasteczkach. Nikt nie uwierzy, ilu spotkałam Szulców. Ale mojego dotąd nie znalazłam.

¹ Zdzisław Koterwas (1920–1942) – podchorąży, żołnierz kampanii wrześniowej, wzięty do niewoli w 1939 r., zginął w hitlerowskim obozie koncentracyjnym Sachsenhausen-Oranienburg.

Zupy (1939)

Po lewej stronie szosy zamojskiej, tuż za przejazdem kolejowym, gdzie teraz osiedle mieszkaniowe Bronowice II, mieściła się fabryka samolotów „Plage i Laškiewicz w Lublinie”² z licznymi hangarami i ogromnym lotniskiem. Obiekt ten we wrześniu 1939 roku Niemcy zamienili na wielki obóz jeniecki, w którym koczowało tysiące polskich żołnierzy. Wziętym do niewoli nie dawano jeść. Widziałam setki rąk sięgających między drutami kolczastymi po kromkę chleba, gotowany ziemniak, czy kubek mleka. Stałam bezradna. Skąd wziąć naczynia, aby rozlać przyniesiony w bańce krupnik? Wygłodzeni żołnierze podawali liście łopianu, kawałki starych gazet, niektórzy po prostu nadstawiali dłonie, bez słów. Niemcy zabrali Polakom nie tylko broń, ale cały żołnierski ekwipunek: koce, menażki, przybory do golenia i pisania.

Wartownicy obwieszeni granatami, rozstawieni co parę kroków, nie pozwalali zatrzymać się przy ogrodzeniu, odpychali kolbami karabinów mniej sprawnych, strzelali w górę i wrzeszczeli. Ludzie stali spokojnie po obu stronach ogrodzenia. Tuż pod bokiem strażników przemycano wiktuały. Należało szybko podejść do ogrodzenia, podać zawiniątko i wrócić jak odbita piłka. Przy większych pakunkach jak marynarka, sweter, koc, na chwilę rozsuwano kolczaste druty, przesuowano paczkę, którą wraz z obdarowanym wchłaniał tłum kolegów.

Wracałam bez bańki. W głowie zamęt – nie mogłam uporządkować myśli. Czym nakarmić głodnych? Skąd wziąć tyle naczyń? Jak podać ołówki i kartki chcącym powiadomić rodziny. Pomógł mi przypadek. Znalazłam okrągłą pieczęć szkoły z godłem Polski. Naszyłam na opaskę czerwony krzyż i przybiłam pieczęć tak, że orzeł i „w Lublinie” były wyraźne. Nazwę szkoły „poruszyłam” na wypadek, gdyby któryś z Niemców znał nasz język.

W parę minut po moim powrocie spod drutów, z młodzieży naszego podwórka powstał zespół gotujących zupy: Zofia Gilarowska, Anna Laskowska, Zofia Świstak, Krystyna Witkowska, Romana Zawiaślak, Mieczysław Panas i inni, których nazwisk już nie pamiętam. Gotowaniem kierowała moja Matka. U sąsiadki, pani Panasowej, znalazł się kocioł o pojemności trzech wiader. Na długo w naszej kuchni zrobiło się tłoczno i gorąco. Gotowałyśmy na trzy zmiany. Każdego dnia zanosiliśmy głodnym dziewięć wiader gęstej

² Od 1936 r. nosiła ona nazwę Lubelskiej Wytwórni Samolotów; do 1939 r. produkowano tam m.in. samoloty typu Fokker.

zupy. Domowe zapasy wyczerpały się w parę dni. Jednak do zaopatrywania nas w produkty żywnościowe poczuli się prawie wszyscy mieszkańcy domu przy placu Bychawskim 11. Przynosili mąkę, kaszę, groch i wszelki suchy prowiant. Często zdawało się, że następnego dnia nie będzie co włożyć do kotła, ale ludzie dostarczali nowe zapasy. Także ludzie spoza naszej posesji.

Na przykład pan Sagan, właściciel masarni, wypytał dziewczyny idące z wiadrami zupy, co niosą, dla kogo, skąd idą i zaraz przyniósł pięciolitrową blaszankę szarego smalcu, zbieranego z „rosołu”, w którym gotowano uwędzoną wędlinę. Już nie martwiłam się o omastę do żołnierskiego jadła.

Warzyw ciągle było mało. Znalazłam wyjście, wprawdzie niepiękne, ale najłatwiejsze – sięgnąć po cudze. Po drugiej stronie naszej ulicy stał parterowy domek, za domkiem – ogród warzywny. Zosia G. wypatrzyła którąś najbezpieczniej się tam dostać. Idąc na rabunek rozgrzeszałyśmy się wzajemnie, że cel uświęca środki, robimy to nie dla zysku, a dla głodnych. Od łąki zrobiłyśmy pod siatką podkop, przez który wpełzałyśmy, aby po omacku wrywać co popadło. Nasz strach i wyczyny okazały się niepotrzebne. Po paru dniach przyszedł do nas pan Jasiński, właściciel warzywnika. Na mnie ścierpła skóra. Nie zauważył mojego zmieszania, zwrócił się do nas serdecznie:

– Przychodźcie po kapustę, marchew, buraki mam piękne. Bierzcie, ile trzeba. I tak jakiś łobuz buszuje w nocy po ogrodzie – zwierzał się ogrodnik. – Pilnuję z pałą do północy, ale łotrzyk nie boi się patroli niemieckich.

Ominęła nas pała, bo wyprawy po warzywa odbywały się po ugotowaniu trzeciego kotła, a więc przed czwartą nad ranem.

Nie opuszczało nas zmartwienie, skąd wziąć naczynia. Rozdałam nasze i darowane kubki, miski i kompotierki – wszystko mało. Mietek Panas wpadł na pomysł, żeby porobić naczynia z blaszanych opakowań po herbacie, landrynkach i konserwach. Mali chłopcy zbierali puszkę i pudełka, Mietek dorabiał uchwyty jak u wiader. Dostarczali tych naczyń dwadzieścia i więcej dziennie. Ciągle za mało. Na lotnisku znajdowało się kilkanaście tysięcy ludzi. Mrowie.

Aby dostarczyć zupę na teren obozu, założyłam na ramię opaskę Czerwonego Krzyża i tak stanęłam przed wartownikiem. Przyjrzał mi się, zajrzał do wiader – zapachniało. „Gut” – powiedział. Weszłyśmy na teren obozu. W parę sekund otoczył nas zwarty pierścień żołnierzy. Matka odmierzała czerpakiem zupę, ja zabezpieczałam kolejne wiadro. Głodni tak napierali, że moje kolano przedarło papier zakrywający zupę i utkwilo w gorącej grochówce. Nie mogłam się ruszyć aż do wyczerpania zawartości pierwszego wiadra.

Nie tylko my dostarczaliśmy pożywienie jeńcom. Mieszkańcy Lublina i okolic nieprzerwanym strumieniem nieśli kosze, bańki, dzbanki, ubrania cywilne, paczki i paczuszki. Ten pochód sunął od świtu do zmroku. Najgorsza była świadomość, że te zbiorowe starania nie zaspokajają głodu ludzi za drutami.

Koński szczaw (1939)

W obozie wybuchła czerwonka. Dostarczałam teraz nie tylko opatrunki i maści, ale także leki przygotowane przez farmaceutów lubelskich. Panie z jakiegoś majątku przywoziły wiadrami tarte jabłka, mieszkańcy Lublina podawali przez druty różne leki. Mimo to groźna choroba zataczała coraz szersze kręgi. Chorzy nie mogli iść o własnych siłach. Wycieńczeni padali na drodze do latryn. Co dzień przybywało ludzi leżących na gołym betonie. Wszyscy byli wygłodzeni. Śmierć zabierała parę osób dziennie.

Kiedyś, gdy wracałam do domu, już na podwórku, nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Rozpłakałam się.

– Czego to płacze? – usłyszałam obok siebie głos Zawisłaczki. Wyszła na ganek, aby jak każdego wieczoru stwierdzić – Jutro jak nie będzie dyszczy, to pogoda zapowiada się słoneczna.

Była to stara kobieta, trudniąca się sprzedażą zbieranych przez siebie ziół. Opowiedziałam jej o czerwonce w obozie jeńców i bezskuteczności leków. Zielarka zamyśliła się:

– Nie trzeba płakać. Dam końskiego szczawiu. Zaparzyć, niech piją. Jak ma przejść, to przejdzie – powiedziała, a po chwili wyniosła ogromne naręcze suchego zioła. Gotowałyśmy ziele-cud! Przywracało ludziom zdrowie. Nie było już zgonów. Wanda parzyła koński szczaw, ja zorganizowałam grupę ludzi zbierających jesienne badyle tej cudownej rośliny.

Od tego czasu zaczęłam poznawać, zbierać i suszyć zioła. Pod koniec lat pięćdziesiątych w gazetach codziennych ogłoszono: „zielarzy, znachorów i innych szarlatanów będzie się ścigać”. Tego dnia spaliłam wszystkie zioła, zlikwidowałam ramy do suszenia roślin. Nazajutrz przyszli dwaj panowie i milicjant.

– Mamy donos, że pani leczy ziołami – powiedzieli, pokazując mi artykuł.

– Czytałam i zgodnie z zarządzeniem spaliłam swoje zapasy ziół. Pobieźnie sprawdzili.

– Może pani chce wiedzieć, kto poskarżył?

– Nie, nie chcę.

Poszli. Zainteresowanie ziołami pozostało.

Opaska (1939)

Opaska Czerwonego Krzyża nakładała obowiązki. Żołnierze ufnie obnażali swoje okaleczenia, uskarżali się na ból, oczekiwali pomocy.

Wracając z lotniska, zamienionego na obóz jeniecki, weszłam do apteki na ulicy 1 Maja i oznajmiłam wprost:

– Naszym żołnierzom potrzebne są lekarstwa i opatrunki. Proszę przygotować. Będę rano szła do obozu, zabiorę.

– Przepraszam, czy siostra jest z lubelskiej kolumny PCK?

– Nie jestem siostrą. Mam opaskę, dzięki której mogę wchodzić za druty.

Tak się zaczęła moja współpraca z Janem Migurskim. Odtąd codziennie zabierałam paczki z medykamentami, których wciąż było mało.

* * *

Pewnego razu na terenie obozu podeszła do mnie szesnastoletnia dziewczyna.

– Zobaczyłam siostrę z opaską i zgłaszam się, może się przydam.

Była to Wanda, poznanianka, znała dobrze język niemiecki. O nazwisko nie pytałam – szkoda. Udekorowałam ją opaską z czerwonym krzyżem. Teraz byłyśmy dwie. Wanda zauważyła, że jeden z hangarów ma ścianę murowaną z cegły na „kant”. Żołnierze zrobili w niej otwór. Dziurę zamaskowali szafą biurową z rozsuwanymi plecami. Przejście wychodziło na tory kolejowe przy ulicy Łęczyńskiej, skąd droga była wolna. Z zamaskowanego przejścia mogli skorzystać ci, którzy mieli cywilne ubrania. Kobiety ryzykując życiem, przynosiły pod druty nie tylko żywność, papierosy, mydło, ale i odzież.

Wanda nie opuszczała obozu. Bała się, że nie wejdzie z powrotem. Miała tylko tę opaskę, żadnych dokumentów. Ta dziewczyna pomysły miewała, zdawałoby się, nierealne. Wtedy Niemcy jeszcze nie prowadzili ewidencji, a zespół wartowniczy zmieniał się co parę dni. Dzień wymiany strażników, to był najdogodniejszy czas na różne śmiałe poczynania. Wanda „wyszprechała” zgodę na przewożenie chorych żołnierzy do szpitala. Pierwszy napotkany przeze mnie woźnica zgodził się transportować chorych. Założył opaskę Czerwonego Krzyża i wjechaliśmy na teren obozu.

Po pierwszym nastąpiły dalsze transporty. Wanda pilnowała „porządku”. Na podłodze platformy ciasno kładli się zdrowi żołnierze, na wierzchu ranni i chorzy, potrzebujący pomocy lekarskiej. Ja siedziałam zwykle na koźle obok woźnicy. Kiedyś zagadałam do niego:

– Szczęśliwie się złożyło, że był pan na postoju ze swymi końmi.

Woźnica na to:

– Siwek to mój, a drugi koń, sprzężony z moim to kolegi, a wóz zamieniliśmy z jednym furmanem, bo większy. Konie nakarmione, ja jeżdżę, bo znam chody.

I tyle.

Woźnica, Jan Gnypek, nie przypadkiem stał z platformą za rogiem. Niemcy nie wtrącali się do przewozu chorych – panicznie bali się „zarazy”.

* * *

Opaskę z czerwonym krzyżem wykorzystywałam wiele razy i w różnych okolicznościach. 28 września 1939 roku usłyszałyśmy zupełnie blisko strzały. Gdy kule przestały gwizdać, Wanda została w obozie, a ja wzięłam torbę z opatrunkami i pojechaliśmy z Gnypkim. To oddział Polaków bił się z Niemcami na polach Wólki Lubelskiej. Gdy przyjechaliśmy, Niemcy zabierali swoich zabitych, naszym kopano groby koło szosy. Trzej ranni Polacy zostali otoczeni opieką mieszkańców wioski. Wtedy poznałam tamtejszą nauczycielkę Małgorzatę Szewczykównę – człowieka o wielkim rozumie i czułym sercu. W czasie okupacji łączyła nas służba, a do dziś cieszę się jej przyjaźnią. Właśnie Gosia udzieliła rannym pierwszej pomocy. Odwieźliśmy ich do szpitala ss. Szarytek³. Gosia ich tam odwiedzała. Jeden z nich, Konstanty Płatkowski, student politechniki, miał siedem ran, mówił o małym synku, zmarł.

* * *

Dowiedziałyśmy się, że na pierwszym piętrze, w pomieszczeniu biurowym, więzionych jest kilku oficerów. Nie wiem skąd Wanda miała klucz, dość że trzeba go było podłożyć na górę. Według umowy ona zajęła rozmową strażnika, ja zaniósłam na górę klucz i włożyłam go wraz ze szkicem obozu w szparę pod drzwiami pokoju więzionych.

³ Obecnie Państwowy Szpital Kliniczny nr 1, mieszczący się przy ul. Staszica 16.

Moja wędrówka nie uszła uwadze pilnującego. Do przebycia miałam trzy schodki, gdy Niemiec odwrócił się i wrzasnął: „Halt!”. Udałam, że chciałam iść na górę. Tłumaczyłam, że nie widziałam dużej tablicy z napisem: „Kto wejdzie na górę, będzie rozstrzelany”. Nie przekonałam go. Popychana szybko znalazłam się na wartowni, gdzie pewnie i stanowczo przekonywałam o swojej niewinności, ciągle powołując się na opaskę Czerwonego Krzyża. Dwaj Niemcy odrzucali mnie od siebie jak piłkę, trzeci spokojnie przyglądał się zabawie. Wreszcie powoli podszedł do piecyka – żelaźniaka, wyjął pogrzebacz tkwiący w rozżarzonych węglach, wydawało mi się, że się uśmiechnął – chwycił moją rękę i rozpalony koniec pogrzebacza przycisnął do jej wierzchu. Zasyczało i zadymiło swądem ostrym, duszącym... Pogrzebacz nie przeszedł na wylot, zsunął się z dłoni (odtąd mam głęboką bliznę na wierzchu prawej ręki). Coraz mocniej powtarzałam: „Ich bin Rote Kreuz”. Zostałam wykopana za drzewi.

Pusto. Ciemno. Nie wiedziałam, co z Wandą. W głowie szum. To ręka! Nie krwawi. Czarny strup. Nie boli. Majaki. Tysiące myśli. Wtem zobaczyłam Niemca, szedł na wartownię. Otrzeźwiałam. Uśmiechnęłam się, jakbym właśnie coś pomyślnie załatwiła, bo na wartowni zgłaszało się rozmaite sprawy: kierowanie do szpitali chorych żołnierzy polskich, każdorazowe otwarcie bramy, pozwolenie na zasypanie jednych i kopanie drugich latryn.

Bramę obozu przeszłam bez przygód... i nadziei powrotu. Na ulicy spotkałam jednego z niedawno uwięzionych na piętrze oficerów, Stefana Jędrzejewskiego. Mówił, że skorzystali z podrzuconego klucza i planu, wszyscy opuścili obóz przejściem w szafie. Szczęśliwie dotarliśmy do domu. Dziewczęta przy kotle z zupą na jutro. Domownicy siedzieli przy stole, na którym paliła się mała świeczka. Mroczno, duszno. Wszyscy jak na komendę zwrócili oczy w naszą stronę. Pytali, co się stało.

– Nic. Ten pan z obozu – odpowiedziałam.

Mój towarzysz miał na sobie dopasowany oficerski mundur. Ktoś podał mi lusterko. Byłam zupełnie żółta. Białka oczu jak płatki szafranu. Ze strachu dostałam żółtaczkę. Taka to jestem odważna.

Konspiracja (1940–1944)

Pełniłam służbę w łączności Armii Krajowej przez całą okupację niemiecką. Wysyłano mnie w teren, nawet do dwudziestu razy w miesiącu. Było to możliwe dzięki pracy w zakładzie krawieckim Adolfa Adamczyka przy Bernardyńskiej 12. Pieczętka zakładu zabezpieczała przed wywiezieniem na roboty do Niemiec. Podczas moich wojaży koledzy krawcy przyszywali za mnie guziki, pikowali klapy, wciągali fastrygę – czynności te należały do moich obowiązków. Majster „nie zauważał” mojej nieobecności. Nikt o nic nie pytał. Tak było lepiej.

Na początku 1942 roku okupant zajął nasz warsztat. Dziesięciu krawców i ja, pomoc krawiecka, musieliśmy szyć ubrania cywilne tylko dla Niemców. O zwalnianiu się nie mogło być mowy. Wkrótce warsztat przeniesiono na Krakowskie Przedmieście 30. Nowy lokal miał małe pomieszczenie na pracownię. Tę sytuację wykorzystał nasz mistrz Adamczyk. Narzekał na ciasnotę, gderał, przesadzał ludzi. Mój stołek wędrował z kąta w kąt, wszędzie przeszkadzał. Nieustająco trwała dyskusja, gdzie mnie posadzić. Wreszcie nasz majster przekonał Niemca, że najlepiej opłaci się wydawać mi robotę do domu. Odtąd koledzy krawcy szyli za mnie kamizelki.

Trwało to ponad dwa lata, do końca okupacji. Koledzy zabierali robotę do domu, bo w warsztacie szył z nimi brat Niemca, obecnego „właściciela”, a ten miał oczy i uszy otwarte, ciągle węszył. Do dziś nie wiem, komu bezpośrednio zawdzięczam tę koleżeńską pomoc.

Wydaje się, że wykonywanie zadań powierzonych kurierowi, to pokonywanie niebezpieczeństw i zasadzek, dających pole do czynów bohaterskich. Nie zdarzyło mi się być w sytuacji, w której mogłabym wykazać swoją odwagę. Nie przewoziłam, jak moja Matka (także kurierka), rzeczy ciężkich np. podręczników dla leśnej podchorążówki, części metalowych, jakichś zaworów, drutów, aparatów. Matka przewoziła kiedyś całą stację krótkofalową. Zamaskowanie i przewiezienie takiego bagażu wymagało pomysowości, sprytu, opanowania, odwagi i siły fizycznej. W razie przechwycenia przesyłki przez Niemców nie było ratunku – gestapo albo cyjanek.

Moje zadanie polegało na doręczeniu tekstu drobnutko pisanego na bibułce japońskiej, cieniutkiej, lekkostrawnej. Przesyłka ta nie mogła wpaść w niepowołane ręce. W razie niebezpieczeństwa czy niemożliwości doręczenia należało połknąć maleńki płatek. W

doręczaniu rozkazów zdarzały się nieprzewidziane przeszkody. Pokonując jedną z nich, dokonałam prawdziwego wyczynu sportowego, przebiegając na przełaj dziesiątki kilometrów bez odpoczynku. Nie liczę już skoków w dal i wzwyż przez rowy i płoty. Tego dnia raniutko łączniczka wręczając mi bilet kolejowy, powiedziała:

– Pojedziecie do Trawnik, potem 7 kilometrów przez Oleśniki do Dobryniowa – tu następował dokładny opis mijanych po drodze charakterystycznych szczegółów na trasie marszu. Zawsze dostarczano nam wyczerpujących informacji, którędy iść, gdzie skręcić. Polecano iść pewnie i nie pytać. Powtórzyłam za łączniczką hasło – odzew, wzięłam torebkę krówek domowej roboty i... Wszystko przebiegło zgodnie z planem.

W Dobryniowie jednak adresat przed chwileczką wyszedł do Łopiennika Dolnego. Pomaszerowałam w ślad za nim 3 kilometry. W Łopienniku Dolnym nie było go już, skończył odprawę i poszedł do Łopiennika Górnego. W towarzystwie miejscowego łącznika pobeśliśmy na skróty. Tu mówią nam:

– Jaka szkoda, dopiero wyjechał furmanką do Krasnegostawu.

Ale tego dnia miałam wyjątkowego pecha. W Krasnymstawie też nie zastałam adresata. Owszem był, zamienił furmankę na rower i udał się do odległej o 11 kilometrów Izbicy. Jeszcze w Krasnymstawie spotkałam Cześka, mego stryjecznego brata (także żołnierza AK). Jechał rowerem. Pożyczyłam od niego pojazd, pełna nadziei, że przyspieszę doręczenie poczty. Rower skrzypiał, dzwonił, chrobotał – przy tym siodełko miał ustawione tak wysoko, że musiałam naciskać pedały stojąc. Zwraçało to powszechną uwagę. Niedobrze. Tuż przed Izbicą uciekło powietrze z dętki. To zadecydowało, że bez żalu zostawiłam „rumaka” pod drzewem. Do Izbicy też dotarłam za późno. Powiedziano mi, że pojechał do Zamościa. Goniłam go kolejnych 20 kilometrów – bez powodzenia. Wracałam za adresatem do jego kwatery w Krasnymstawie. Aby zdążyć przed godziną policyjną biegłam. To był morderczy bieg. Kilka kilometrów udało mi się prawie frunąc za jadącą furmanką. Trzymając się łańcucha odbijałam się nogą, jak na hulajnodze. Zdążyłam. Ogromnie chciało mi się pić.

Utkwiło mi w pamięci inne zdarzenie, które mogło się źle skończyć. Tym razem rozkaz należało doręczyć do Włodawy. Trasę, adresata i skrzynkę kontaktową znałam. Nie pierwszy raz wykonywałam zadania na tym terenie. Od stacji kolejowej, która jest oddalona od miasta o około 3 kilometry, szłam na przełaj dobrze mi znajomą ścieżką przez łąkę. Pięknie. Słoneczko, wysoka ukwiecona trawa, tu i ówdzie ptaszek. Czułam się bezpieczna. Nie wiem, jak to się mogło stać, że na chwilę zapomniałam o czujności. Dochodząc do wału nad Bugiem, zobaczyłam na nim trzech Niemców. Wyrośli jak spod ziemi. W tym samym momencie i oni mnie spostrzegli. Za późno wracać. Podeszłam do nich, wyciągnęłam rękę do

Niemca trzymającego lornetkę. Mówiłam wielce zaaferowana, wykorzystując znajomość kilku słów niemieckich i pokazując na migi, że przyszedłam zobaczyć bolszewika. Niemiec, trochę zaskoczony, podał mi lornetkę. Rzeczywiście zobaczyłam człowieka, którego obserwowali. Siedział w łozinach po drugiej stronie Bugu. Oddając lornetkę podziękowałam grzecznie i poszłam dalej ścieżką do Włodawy. Zrywałam kwiatki nasłuchując, czy nie strzeli mi któryś w plecy.

Urozmaicona była także pewna wyprawa do Chełma. Miałam uprzedzić przed aresztowaniem. Adresata i kwaterę znałam. Zaopatrzona w bilet, przyszedłam na stację, jak polecono, tuż przed odejściem pociągu – właśnie gwizdnął. Podbiegłam. Dwaj Niemcy, śmiejąc się i żartując, zagroździ mi drogę do wagonu. Pociąg odjechał. Zadowoleni z psikusa, poszli sobie. Zdecydowałam się iść piechotą, może trafi się furka chłopska, podwiezie. Szosą zamojską biegłam około 8 kilometrów. W Kalinówce zobaczyłam, że jacyś Niemcy wsiadają do stojącego samochodu. Z tyłu, na pochylnej karoserii było miejsce z wgłębieniem i uchwytami na zapasowe koło. Złapałam za uchwyty, o drugie oparłam nogi, przywarłam całym ciałem do karoserii. Zmieściłam się. Bałam się głębiej odetchnąć. Nie pierwszy raz dziękowałam Bogu, że jestem mała. Wprawdzie w niewygodnej pozycji, ale niezauważona – jechałam. W drodze opracowałam „wysiadanie”. Musiałam liczyć się z tym, że nade mną było owalne okienko. Tuż przed Piaskami puściłam haki i stoczyłam się bezwładnie a planowo do przydrożnego rowu. Leżałam spokojnie, aż umilkł warkot samochodu. Niemcy nie zauważyli zgubienia „bagażu”. Byłam zdrętwiała, połamana. Przeszło. Biegłam dalej. Za Piaskami wskoczyłam na furę. Powiedziałam powożącemu:

– Muszę zdążyć do Chełma. Zaraz, szybko.

Nie pytał, tylko smagnął konia batem. Przed Chełmem zatrzymał wóz. Powiedział:

– Z Panem Bogiem.

Pieniądzy nie chciał. Zdążyłam. Miałam szczęście. Wszystkie przekazywane za moim pośrednictwem rozkazy udało mi się dostarczyć na czas.

Szkolenie sanitarne (1942–1944)

W lutym 1942 roku dostałam rozkaz opanowania wiadomości zawartych w „Podręczniku podoficera sanitarnego”. Z zapałem wzięłam się do nauki. Przejęta zadaniem nauczyłam się na pamięć całych rozdziałów książki. Według rycin bandażowałam w kłosek, zakładałam uciski i szyny. Po przerobieniu podręcznika miałam świadomość, że mogę uśmierzyć ból. Wydawało mi się, że teraz potrafię zapobiec każdemu cierpieniu. Ufna we własne siły zgłosiłam się jako sanitariuszka. Marzyłam o włączeniu do walczącego oddziału leśnego. Zawód. Po sprawdzeniu wiadomości, skierowano mnie na dalsze szkolenie.

Edukacja przypadła akurat na czas, kiedy wysiedlono nas z pl. Bychawskiego 11 do kościoła św. Pawła. Nie tylko tam znaleźli się wysiedleńcy. Lokatorów miał także najcenniejszy jako zabytek, kościół oo. Dominikanów. W pierwszy dzień po Wielkanocy 1942 roku Niemcy wtoczyli do świątyni około stu rodzin. Naszą posesję potraktowano „łagodnie”, pozwolono zabrać wszystko w czasie jednej godziny. Jak większość Polaków za okupacji byliśmy spakowani i gotowi do opuszczenia swego domu z ręcznym bagażem. Nie wiem, skąd wzięły się furmanki chłopskie, na które ładowaliśmy dobytek. Każda rodzina dostała jedną taką furkę, bez względu na liczbę osób i sprzętu. Byliśmy pewni, że przesiedlają nas na wieś, a tymczasem wozy zatrzymały się przed kościołem św. Pawła. Pilotujący nas Niemiec wrzeszczał, śmigał pejczem na prawo i lewo. Bił na oślep. Piekło. Mimo jego wrzasków i razów nikt nie śmiał wnieść swoich gratów do kościoła.

W kruchcie stanął ksiądz w komży, z niewielkim krzyżem w ręku. Szwab znieruchomiał. Ucichło. Słyszałam tylko własne serce. Kapłan uniósł krzyż w górę i poważnie przemówił: „Pójdźcie do mnie wszyscy...”. Płacz, niesamowity lament zagłuszył dalsze słowa. Nikt się nie ruszył z miejsca. Duchowny spokojnie podszedł do furmanki z dobytkiem Błazewiczów, wziął stołek szewski i wniósł do kościoła. Zamieszkaliśmy w lewej nawie, przy pierwszym ołtarzu, razem z trzema rodzinami. Było tłoczno. Przycupnęliśmy. Spakowani, zawsze gotowi do drogi. Mimo wiosny na ścianie szron. Zimno. Nie mogłam odejść, aby u znajomych ogrzać się trochę i zjeść. Mimo przesiedleń praca w konspiracji trwała nieprzerwanie. Moją Matkę wysłano w teren, jeszcze nie wróciła. W każdej chwili i do mnie mogła przyjść łączniczka z rozkazem, a ta nie mogła błędzić. Siadłam na tłumokach i obserwowałam wchodzących. Jedni szukali bliskich, inni wypytywali, przynosili jedzenie,

zapraszali do domów, zabawiali dzieci, pocieszali. Zdarzali się i tacy, których gorszyły palące się prymusy, rozwieszane pieluchy, okopcone garnki i rozgrzebane posłania. Trudno jednak było utrzymać jaki taki ład. Ciągłe wszyscy czegoś szukali i na nowo przepakowywali. W drugim dniu pobytu w świątyni, panie z RGO⁴ przywiozły na wózku dziecięcym kociołek gorącej zupy. Zapachniało kapuśniakiem jak kadzidłem. Ludzie szybko wygrzebywali się z otuleń, aby zająć miejsce w kolejce. Stałam z kubkiem. Zabrakło zupy.

– Jutro przywieziemy dwa kotły – obiecały panie. Nie czułam głodu. Było mi zimno. Zajęłam swoje miejsce na tłumokach. Wśród wchodzących zauważyłam panią wyróżniającą się niepospolitą urodą. Było w niej wiele ciepła, prostoty, ujmującej dobroci, zatroskania. Nieznajoma chwilę szukała wzrokiem i podeszła wprost do mnie, podała garnuszek i zachęciła:

– Proszę zjeść, rozgrzać się, to dla pani nie wystarczyło zupy prawda? Przyniosłam z domu, gorącą. Zimno tutaj.

Tak poznałam Danutę Magierską⁵. Odtąd, spotykając się na ulicy, wymieniałyśmy kilka grzecznościowych zdań. Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że w czasie okupacji Danuta Magierska była komendantką Chorągwi Lubelskiej Szarych Szeregów i zajmowała kierownicze stanowisko w Wojskowej Służbie Kobiet Armii Krajowej. Czy mogłam przypuszczać, że ta poważna, spokojna, zawsze opanowana znajoma z kościoła to właśnie mój dowódca. W konspiracji nikt nikomu się nie zwierzał, ani przyznawał do jakiegokolwiek działalności. Po wojnie nasza znajomość przerodziła się w przyjaźń. Danusia jest odtąd przy mnie w różnych sytuacjach życiowych; służy radą, a w chorobie troskliwie pielęgnuje. Parę tygodni dyżurowały na zmianę z Małgorzatą Szewczykówną przy łóżku mojej ciężko chorej Matki, była także przy Jej śmierci.

Zmiana adresu nie przeszkadzała w podziemnych działaniach. Na tajne ćwiczenia z ratownictwa i pielęgniarstwa biegałam około pięciu kilometrów za miasto, pod wieś Głusk. Nie wiem, skąd były dwie młode panie, z którymi stanowiłam komplet. Zajęcia prowadziła harcerka – doktor Kazimiera Litwiniukowa, obdarzona wyjątkowymi zdolnościami pedagogicznymi. Bez zbędnej gadaniny uczyła rzeczowo, jasno i ciekawie. Stawiałyśmy bańki, robiłyśmy zastrzyki, opatrywałyśmy rannych, myłyśmy ciężko chorych i

⁴ Rada Główna Opiekuńcza, działająca w okresie dwudziestolecia międzywojennego oraz w czasie II wojny światowej na terenie Generalnej Guberni.

⁵ Danuta Zofia Magierska (1910–1984) – w czasie okupacji żołnierz ZWZ i AK; harcmistrz ZHP, współorganizatorka konspiracyjnej Chorągwi Lubelskiej; polonistka (absolwentka Wydziału Nauk Humanistycznych KUL – 1933 r.); bibliotekarz.

zmieniałyśmy bieliznę. „Ćwiczyłyśmy” transport rannych, wyjaławiałyśmy narzędzia i środki opatrunkowe i bandażowały, bandażowały, bandażowały.

Pani doktor uważnie śledziła każdy ruch, tłumaczyła celowość i wagę wykonywanych czynności, łagodnie, cierpliwie, z uśmiechem. Imponowała mi spokojem. Nie bała się. Nie widziałam jej także zmęczonej czy sennej, a zajęcia trwały dwie doby. Umiała zaciekawić ćwiczeniami, utrzymać tempo. Nie pragnęłyśmy choćby małej przerwy na odpoczynek czy sen. Posiłki dietetyczne przyrządzałyśmy same.

Dla mnie utrapieniem było ćwiczenie „karmienie i pojenie chorego”. Wołałabym już nic nie jeść przez dwa dni, niż być karmiona. Albo mycie. Utkwiła mi w pamięci kursantka, która na mnie ćwiczyła. Pani ta pozowała na damę. Niezręcznie i ślamazarnie ćwiczyła „mycie chorego w łóżku”. Na uwagi pani doktor zaczynała zadanie od początku. Nie żałowała wody. Do mnie mówiła słodko:

– Przepraszam, ale jestem nieprzyzwyczajona.

I lała wodą. Cały czas trwania tych praktyk, zaciskałam zęby i żarliwie się modliłam, żeby nie sprać tej „damy”.

Szkolenie u doktor Litwiniukowej trwało cztery razy po dwie doby. Następnie odbyłam miesięczną praktykę w szpitalu Jana Bożego w Lublinie, u świętego chirurga, doktora Kożuchowskiego. Ten wspaniały pedagog miał ciekawy sposób nauczania. Podczas opatrunku mówił półgłosem, niby do siebie. Na przykład:

– Przez jałowy gazik pęsetą wyjmę czop ropny, oczyszczę okolicę rany benzyną... – albo – Nie wolno kłaść waty ani ligniny wprost na ranę, nawet najbardziej ropiejącą. Wata zalepi odpływ ropy, przylepiając do rany kłaczki...

Miałam jeszcze zajęcia z doktor Olecką – były testy, sprawdziany, odpytywania – wreszcie oceniła krótko: „Jesteście gotowa do służby”. Nie skierowano mnie do oddziału leśnego. Dostałam rozkaz zorganizowania i przeszkolenia patroli sanitarnych. W instrukcji podano opis wnętrza torby sanitarnej, wykaz leków i materiałów opatrunkowych, jakie należy mieć w torbie i gromadzić, a także wymiary noszy. Z tym przystąpiliśmy do działania.

Mietek Panas odkrył źródło „aparatusów”. Aparatus to szczelnie zakręcony pojemnik do przechowywania strzykawki i igieł w alkoholu. Wystarczyło dla wszystkich przeszkolonych dziewczyn. W wymagane medykamenty zaopatrzyła patrolę Bronisława Świstakówna, która pracowała w hurtowni aptecznej przy ul. Narutowicza 13. Wykonanie toreb według wymaganego wzoru należało do sanitariuszek, one także gromadziły materiały opatrunkowe. Nosze robił mój ojciec – stolarz (był również wykonawcą zaskakująco

pomysłowych skrytek w lokalach konspiracyjnych), a niezastąpiony Mietek Panas, z zawodu ślusarz, dostarczał okuć do nich.

Ćwiczyłam po dwie, trzy osoby w różnych pomieszczeniach z zachowaniem wszelkiej ostrożności. Wzorując się na systemie doktor Litwiniukowej, unikałam suchych wykładów. W Lublinie przeszkoliłam sto jedenaście sanitariuszek w wieku powyżej szesnastu lat. Każda z nich przechodziła dwutygodniową praktykę na sali opatrunkowej w jednym ze szpitali lubelskich. Musiały tak się tam zachowywać, żeby nie odróżniono ich od sił fachowych.

W listopadzie 1943 roku łączniczka doręczyła mi karteczkę: „Jutro na dziewiątą rano dojdź do Kalinówki, po lewej lasek sosnowy – tam czekać”. Rozterka. Brać opatrunki? Może była jakaś akcja, są ranni – ten lasek mnie zaszokował. Prawie biegłam. Łącznik już czekał. W izbie, do której mnie wprowadzono, zastałam około dwudziestu osób, przygotowane bandaże i uciski.

Dowiedziałam się, że mam uczyć udzielania pierwszej pomocy i przygotowania rannych do transportu. Zmieścić to w trzech godzinach. Kończyłam zajęcia, gdy oznajmiono mi, że konie czekają i jadę dalej. Byłam zmęczona. Otuliłam się wielkim kożuchem i zaraz zasnęłam. Zajechaliśmy. Ludzie i tam się już zgromadzili. W izbie okna szczelnie zasłonięte. Lampka naftowa, w kominie trzaska ogień. Półmrok. Nastrój tajemniczy, podniosły – jak na obrazach Grottgera. Podobnie w innych punktach szkolenia, których było około ośmiu. Zajęcia odbywały się w izbach chłopskich, salach parafialnych i szkołach, we dworach. Nie informowano mnie, gdzie jestem, ja nie pytałam, dokąd jadę. Ufna w sprawność organizatorów spałam bez względu na porę doby, w przejeździe, etapami. Uczestniczyłam w kilku takich dwudobowych wyprawach, zawsze świetnie zorganizowanych. Po zakończeniu działań wojennych wielu ludzi przeszkolonych przeze mnie trafiło na stałe do służby zdrowia.

Balbina (1944–1949)

Pomysł zorganizowania „Sąsiedzkiej Biblioteki” dała gospodyni z Krępca, Balbina Sochalska, nasza dobra znajoma sprzed wojny, kiedy to w czasie wycieczek do krępieckiego lasu całą gromadą wstępowaliśmy do Sochalskiej na mleko. Gospodyni częstowała nas wiejskimi przysmakami: pierogami z kapustą zapiekanymi w piecu, podpłomykami, twarożkiem itp. Serdeczna i gościnna, uciekała się do różnych forteli, aby nas zatrzymać. Bywało, że pomagaliśmy przy żniwach czy wykopkach.

W czasie okupacji Sochalska przemykała się do Lublina sobie znajomymi ścieżkami. Przynosiła nam żywność, ale przede wszystkim musiała komuś przekazać swoje spostrzeżenia. Było oczywiste, że nie dla zaspokojenia własnej ciekawości obserwuje wroga dzień i noc, notuje w pamięci wszelkie jego poczynania. Mieszkała w miejscu tyle ciekawym, co niebezpiecznym. Niemcy w krępieckim lesie palili na stosach zwłoki pomordowanych. Liczyła ciężarówki załadowane trupami wjeżdżające do lasu. Widziała dymy i płomienie, a duszący swąd ze spalonych ciał unosił się hen za pola krępieckie. Śledziła ruch na torach kolejowych. Wiedziała, ile wagonów z rannymi wracało na zachód, a ile pociągów i w jakim składzie jechało z wojskiem na wschód. Po swojemu określała wiek udających się na front Niemców: „kurczaki”, „dziadki”, czasem oceniała: „zdatni” i zaraz dodawała „musi na urlopach byli”. Obserwowała niemieckie lotnisko w Świdniku. Odważna. Ale nie chciała przenosić podziemnej prasy. „Proszę przeczytać głośno, zapamiętam i powtórzę komu trza”.

Balbina Sochalska przysłała do nas w parę dni po opuszczeniu przez Niemców Lublina. Opowiadaniom nie było końca. Żal po stracie bliskich zatruwał radość z odzyskanej wolności. Tego dnia pożyczyłam jej pierwszy raz książkę – „Huragan” Gąsiorowskiego. Sochalska we wtorki przyjeżdżała z nabiątem na targ.

– Nie oddaję książki, bo chodzi od chałupy do chałupy, czytajo se głośno.

Po kilku tygodniach wróciła w opłakanym stanie. Okładka starta, tytuł ledwo czytelny, kartki w rozsypce. Z tego wniosek: należy pożyczać książki tylko w mocnej oprawie.

– Weźcie teraz inną książkę, kiedy chcecie czytać

– O, jeszcze by ta chodziła, ale trza wiedzieć, kto komu podał, jak przyjdzie czas oddać, żeby wróciła do właściciela.

– Moi drodzy, książka nie musi wracać.

Tak się zaczęła kilkuletnia akcja „Sąsiedzka Biblioteka”, której kolporterką była niepiśmienna gospodyni z Krępca. By książki służyły dłużej, należało je oprawić. Do pracy przystąpiły dziewczyny z dawnych patroli sanitarnych: Helena Dąbkowska, Barbara Trębicka i Izabella Peretiakowicz. Prasa ze ścisków stolarskich i nóż do cięcia forniru z warsztatu mojego ojca, to ich jedyne narzędzia. Dziewczęta uczyły się, dwie studiowały medycynę, Iza farmację. W terminie zdawały egzaminy, kończyły studia, broniły prac dyplomowych, a znajdowały czas na oprawę książek przez parę lat (1944–1949). Najpierw dokonaliśmy selekcji moich zbiorów. Do oprawy wybrano książki historyczne, podróżnicze, przygodowe. Wyczerpawszy własne zasoby i nieliczne darowizny, korzystaliśmy z wydawnictw „Komitetu Upowszechniania Książki” i „Czytelnika” – były to pozycje wartościowe i bardzo tanie. Miesięcznie około dziesięciu oprawionych książek wędrowało do wiejskiego czytelnika – każda z nich opatrzona przekalkowanym znakiem „Sąsiedzkiej Biblioteki”. Był to rysunek trzymanej w ręku otwartej książki i napis „Przeczytałeś – podaj sąsiadowi”.

„Jaskółka” (1945–1950)

Po okupacji dołączyłam do harcerzek, powiększając kadrę służby zdrowia. Brałam udział w szkoleniach instruktorów specjalności samarytańskich, organizowanych przez ZHP rok po roku w Zakopanem, w Buczu, w Otwocku, w Warszawie, we Wrocławiu.

Pod koniec roku 1945 zaproponowałam małej grupce młodzieży harcerskiej:

– Nauczcie mnie harcerstwa, a ja was nauczę ratownictwa. Wszędzie czyraki, świerzb, wszy. Możemy wiele poprawić, zapobiec złu.

Zgłosiło się dziewięć osób. Nie mieliśmy lokalu. Druhowie wytropili salę na trzecim piętrze nad restauracją „Europa” (Krakowskie Przedmieście 29). Bez pytania, zgłaszania i przydziału zajęliśmy pomieszczenie. Po zniszczeniach wojennych – mnóstwo roboty. Z zapałem zabraliśmy się do łatania i malowania ścian, okien, wstawiania szyb, zamków, zawiasów. Taki początek miał najmilej przeze mnie wspomniany, karny, pracowity i zdolny harcerski zespół „Jaskółki”, działający w latach 1945–1950.

Na pierwszej zbiórce w odnowionej harcówce przedstawiłam potrzebę zorganizowania kursów sprawnościowych samarytańskich dla hufców w powiatach, aby objąć szkoleniami całą Chorągiew Lubelską. Najstarszy w gronie instruktorów miał siedemnaście lat, pozostali o rok, dwa młodszy. Uparci, nad wiek poważni, zdobywali wiedzę z ratownictwa, higieny, profilaktyki. Wymyślali ciekawe zabawy, gry, układanki, szarady, porzekadła, ćwiczenia ułatwiające przekazywanie i utrwalanie wiadomości na zbiórkach w drużynach.

Ustaliliśmy, że przybyli na kurs harcerze nie będą tracić czasu na robienie notatek. Związły opis ćwiczeń oraz teksty piosenek dostaną w teczce na zakończenie kursu „Sprawnych zdrowia”. Nieocenioną pomocą były dwie panie – Halina Wójtowiczowa i Janina Januszewska, które zapisały dla nas na maszynie kilka ryz przebitek.

Naszą harcówkę ozdobiliśmy pomocami naukowymi. Kolorowy szlak ilustrował higienicznie spędzony dzień. Osiem witraży pouczyło o niesieniu pierwszej pomocy w nagłych wypadkach. Wśród „jaskółczan” było kilka osób o wyjątkowych zdolnościach plastycznych. W ich wykonaniu plansze pouczyły: „Co sprzyja gruźlicy?”, „Dlaczego ząba jest pożyteczna?”, „Zakażenie kropelkowe”, „Komar”, „Mucha”, „Wesz”. Cały zespół przygotowałam do prowadzenia ćwiczeń z ratownictwa, obszerny materiał rozdzieliłam

między zdolniejszych. Opracowali oni: gruzlicę, jaglicę, tężec, wszawicę, świerzb, szkodliwość nikotyny i wartości kaloryczne potraw. Dwie studentki medycyny (konspiracyjne piątkowe) – Helena Dąbkowska i Barbara Trębicka – sprawdzały wiadomości. Szkolenie własnej kadry instruktorów, przygotowanie ćwiczeń, pomocy naukowych zajęło cały rok szkolny 1946/47.

Mieliśmy kłopoty finansowe. Skąd wziąć wyżywienie, nawet bardzo skromne. Układaliśmy jadłospisy, kalkulowaliśmy. Z Komendy Chorągwi nie spodziewałam się pomocy; tam ciągle „reorganizowano”. Dla zdobycia funduszy proponowałam zbiór ziół przez wakacje i zorganizowanie balu dla dzieci zamożnych rodziców.

Jeden z druhów zaproponował „penetrację” terenu miasta. Zgodziłam się, żeby nie ostudzić zapału. Poszli szperać. Pozyskali do współpracy dwóch lekarzy: Mariana Kryńskiego i Bolesława Kuźmę oraz chętną do gotowania Marię Wójcikową. Znaleźli bezpłatne noclegi w przydworcowej Izbie Dziecka przy ulicy Krochmalnej 1 i duży teren do ćwiczeń polowych z drzewami i żywopłotem, dość blisko „Jaskółki”. Najwięcej radości sprawiło odkrycie w lokalu Polskiego Czerwonego Krzyża ponemieckich zapasów ryżu, pęczaku, mleka i żółtek w proszku oraz innych produktów żywnościowych, z których pani Wójcikowa przyrządzała smaczne potrawy.

Tak przygotowane kursy dla „Sprawnych zdrowia” przy hufcach w powiatach przebiegały według opracowanego planu. Nie pamiętam większych zakłóceń i niespodzianek. Natomiast w pamięci utkwiła mi trema, która opanowywała nas przed każdym kolejnym kursem: Czy uda się, czy dojadą?

W latach sześćdziesiątych odwiedzając wsie i miasteczka Lubelszczyzny z występami moich teatrów, spotykałam naszych byłych kursantów pracujących w różnych ośrodkach służby zdrowia.

Zawiadomiono nas, że mamy uczestniczyć w ogólnopolskim zlocie Harcerskiej Służby Zdrowia w Pupach Wielkich koło Olsztyna i tam zreferować plan działania chorągwi. Radośnie przyjęliśmy ten pierwszy rozkaz naczelnika ZHP. A z Pup Wielkich śmiałyśmy się ciągle od nowa: „Masz w turystyce wiele luk, gdyś nie zwiedził Wielkich Pup”. Dojechaliśmy. Na stacji w Pupach Wielkich drogowskaz informował: „Na zlot ZHP przez Pupy Wąskie 2 km”. To był dopiero śmiech.

Na zlot zabraliśmy pomoce naukowe i zapisy ćwiczeń z kursu „Sprawnych zdrowia”, aby zamiast referatu urządzić pokazy naszych form szkoleniowych. W Pupach ulokowano nas w dwu dużych namiotach. W jednym zamieszkaliśmy, przedzielając go tatarakiem nawleczonym na sznurek, w drugim zaś urządziliśmy wystawę pod hasłem: „Zdrowie”.

„Pożywienie powinno być twoim lekarstwem, a lekarstwo pożywieniem” – głosił napis, a pod nim na różnych poziomach umieszczono artykuły spożywcze ze skalą kalorii i zawartością witamin. Siedem stanowisk o higienie żywienia i siedem obrazujących ratownictwo. Podobał się pomysł z lalkami. Na lalach rozmaitej wielkości i rodzaju demonstrowaliśmy sposoby bandażowania, zakładania szyn albo łupiek usztywniających przy złamaniach kończyn, a lalki, leżące na noszach, pouczyły o ułożeniu przy ranach w brzuch, głowę i nogi.

Żywe zainteresowanie wzbudzały zaszuszone zioła lecznicze. Pytano, jak leczyć, kiedy zbierać, jak zaparzać? Na zewnątrz namiotu zawiesiliśmy plansze o drogach przenoszenia bakterii chorobotwórczych, o szkodliwości nikotyny, alkoholizmie i jego skutkach. A na dachu kolorowe rysunki, jak myją się: Chińczycy, Finowie, Turcy, Eskimosi; jak mazgaje, a jak harcerze. Wystawa wzbudziła zainteresowanie. Uczestnicy zlotu z innych województw przerysowywali, odpisywali, pytali. Pytali o wszystko. Rozdaliśmy przywiezione teczki z opisami ćwiczeń i zabaw.

Zachęteni powodzeniem wystawy, po powrocie do Lublina urządziliśmy ją w baraku przy ulicy Narutowicza 2. I tu miała powodzenie. Była zwiedzana przez drużyny harcerskie, szkoły (także spoza Lublina), wojsko, milicję. Dyżurni oprowadzali, objaśniali niestrudzenie przez trzy miesiące.

* * *

Zastanawiałam się, co zaproponować młodzieży. Zawsze pasjonował mnie teatr. Poprzez słowo, ten podstawowy element teatru, dotrzeć do widza – słuchacza. Myślałam o składance patriotycznej. Byłam pod urokiem poloneza „Wolno tupać po tej ziemi”. Zwierzyłam się swemu pracodawcy Stanisławowi Magierskiemu⁶, człowiekowi dużej wiedzy i niezwyklej subtelności. Dowiedziałam się od niego, że wodewil „Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale” ma oprócz pieśni wiele dowcipnych przyśpiewek. Wybrałam najbardziej aktualne. W egzemplarzu, z którego korzystałam, brakowało nut do pieśni Bandosa, a piękne słowa tej arii chciałam przekazać ze sceny. Kłopot. Wykreślić nie chciałam. Może recytować? Zmartwieniu zaradził pan Magierski – napisał nową melodię, odpowiadającą atmosferze sztuki. Jest to pierwszy utwór napisany dla mojego teatru. Z

⁶ Stanisław Jacek Magierski (1904–1957) – współwłaściciel firmy farmaceutycznej „J. Magierski i S-ka” przekształconej w 1950 r. w Spółdzielnię Pracy „Permedia”, w której pracował jako kierownik techniczny. Z zamiłowania muzyk, fotografik, plastyk. Autor znanej piosenki „Dziś do ciebie przyjść nie mogę”.

pietyzmem przechowuję nuty z dedykacją: „Entuzjastce – Pani Barbarze Koterwas – S. Magierski 19 III 1950 r.”

Mojej gromadce podobał się pomysł. Teatr! Żywo dyskutowali: – Świetna zabawa. Skąd stroje? – Wystąpimy w mundurach, przebierzemy tylko głowy. Czapki z pawimi piórami, kapelusiki z muszelkami, kwiatki, wstążki. Okazało się, że wcale nie jest łatwo uszyć krakowską czapkę z barankiem i zdobyć do niej pawie pióra, a płytkiego kapelusza góralskiego nie znaleźliśmy nawet na wzór. Czapki krakowskie z bibuły w zestawieniu z mundurem wyglądały kabaretowo. Wiele było pomysłów, wreszcie zdecydowaliśmy: będzie to teatr lalek. Na kostiumy dla laleczek znajdują się szmatki. Znów w „Jaskółce” zatętniło życie. Klejenie, szycie, malowanie i codzienne próby.

Miałam powód do narzucenia zespołowi takiego tempa. Dostałam pismo z dnia 13 I 1950 roku tej treści: *Kol. Barbara Koterwas. Referent Zdrowia w Lublinie. Komenda Chorągwi ZHP w Lublinie rozwiązuje z Koleżanką umowę o pracę i zwalnia z zajmowanego stanowiska z dniem 31 stycznia 1950 r. Czuwaj! (podpisali) w/z Komendanta Chorągwi phm. Jan Pętlewski i Stanisław Wichrowski, kierownik Wydziału Osobowego.*

Zaskoczenie. Od 1946 roku prowadziłam zajęcia z ratownictwa na kursach i obozach organizowanych przez Komendę Naczelną ZHP. Nie zawierano ze mną umów, nie brałam za to zapłaty. Poza tym do „Jaskółki” nikt się nie wtrącał, nie odwiedzano nas. Pracowaliśmy z zapalem. Wiele było przygotowań przed premierą. „Jaskółka” przybrała niecodzienny wygląd. Chłopcy urządzili widownię – pożyczali z budowy deski, zmajstrowali ławki, przykryli je kocami. Premiera odbyła się 2 kwietnia 1950 roku. Harcerski teatr na „Jaskółce” wystawił „Krakowiaków i Górali” W. Bogusławskiego z muzyką J. Stefaniego i S. Magierskiego. Premierowi widzowie – rodziny i przyjaciele aktorów – życzliwie, niemal z rozrzewnieniem przyjęli widowisko, dalekie przecież od doskonałości. Premiera to jedyny występ naszego teatrzyku – i ostatnia zbiórka na „Jaskółce”.

Oddałam do Komendy Chorągwi klucze do harcówki – przytulnej, najmilszej naszej „Jaskółki” – miejsca ponad czteroletniej, intensywnej, bezinteresownej pracy, ożywionych dyskusji oraz wielu zawiązanych przyjaźni... Nastąpiła przerwa, ale nie koniec działalności. Termin następnej zbiórki wyznaczyłam przed wędrownką na Ziemię Odzyskaną. Teraz „moi instruktorzy” zajęli się nauką – zaliczali egzaminy, zdawali matury.

Na lipcową wólcę wybrało się osiem osób. Nie snuliśmy żadnych planów – wypoczynek. Dojechaliśmy do Wrocławia, dalej pieszo na południe, omijając osiedla i główne drogi. Urzekło nas piękno łagodnych gór, wymyślnie spiętrzonych skał. Teraz, po trzydziestu latach, trudno odtworzyć trasę, wówczas nikt nie prowadził notatek. Zachowały

się wysłane z wędrówki karty ze stemplami poczt – Częstochowa, Wrocław, Jelenia Góra, Cieplice, Szklarska Poręba, Karpacz, Bardo Śląskie, Bystrzyca Kłodzka, Nysa, Opole Śląskie, Świdnica, Chojnasty, Kalwaria Zebrzydowska, Kraków. Nieważne któredy – szliśmy wesoło i beztrosko, nocowaliśmy pod namiotami z pałatek. Gdy wyczerpał się zabrany prowiant z bezdroży skręciliśmy do wsi, aby kupić coś do jedzenia.

Wieś schludna, usytuowana po obu stronach drogi, budynki solidne, murowane, ale bramy i furtki zamknięte. Psy zawzięcie ujadają. Nie ma ludzi. Postanowiliśmy zrobić swoje pałatki i czekać. Słońce zaszło za horyzont – czekamy. Zapadł zmrok – nic się nie zmieniło, wszędzie cisza. Roznieciliśmy ognisko. Zaczęły się smakowite marzenia.

– Gdyby tak mieć ziemniaki. Lubię pieczone.

Ktoś radośnie oznajmił:

– Mam suchy ryż! – I co z tego? – zgasili go. – Skąd zaczerpniesz wody? Pocieszałam głodnych:

– Jutro znajdziemy sklep, zaopatrzymy się w żywność. A dzisiaj proszę piosenkę, dobrze?

W odpowiedzi usłyszałam poloneza „Wolno tupać po tej ziemi” i inne melodie z „Krakowiaków i Górali”. Na wsi tu i ówdzie zauważyłam w oknach światła. Ktoś stanął za plecami harcerzy. Coraz więcej ludzi. Obserwowałam przybyszów. Z daleka od ogniska tworzyli oddzielne grupki, wzajemnie sobie wrogie, nieprzystępne, nieufne. Ktoś nieśmiało dołączył do śpiewających, ale zaraz umilkł spłoszony własną odwagą. Usiłowałam się zorientować, skąd i co nam grozi. Ktoś zaintonował „Przybyli ułani pod okienko”. Niespodziewanie pękły lody. Mieszkańcy podchwycili melodię, tworząc zgodny chór. Potem opowiadali na przemian, jak to autochtoni bali się zabużan, ci zaś, przesiedleni na Śląsk, uważali osiadłych tutaj Polaków za Niemców. Wspólny śpiew potężniał. Zasiedliśmy dookoła ogniska, w którym piekły się ziemniaki. „Szła dziewczeczka do laseczka”, „Głęboka studzienka”, „Pognała wołki na Bukowinę” i wiele, wiele innych. To było wielkie śpiewanie.

Gawędy i wieczornice (1946–1961)

W maju 1946 roku zamieniłam krawiectwo na pracę w laboratorium farmaceutyczno-chemicznej firmy „J. Magierski i S-ka”. Jako jedna z piętnastu naklejałam etykiety, pakowałam flakoniki. Bywało, że bezmyślne czynności urozmaicał nam opowiadaniem o ciekawych ludziach i zdarzeniach nasz pracodawca, Stanisław Magierski – doskonały gawędziarz. Początek mojej z nim współpracy poprzedziła jego piękna gawęda o poezji Jana Kasprowicza i trudnych kolejach życia poety. Nie wiem, co bardziej ciekawiło i poruszało słuchaczy – poezja, czy biografia poety. Wszyscy chcieli mieć wiersze Kasprowicza i wszystko wiedzieć o jego życiu. Pożyczali, przepisywali, opowiadali. Alina Wójtowicz, nasza maszynistka, zostawała po pracy, aby powielić na maszynie wiersze, hymny, ballady. Po tej bardzo udanej lekcji literatury, przed następnymi gawędami, kupowałam książki zaplanowanego autora. Po imprezie książki rozchwytywano. Niektórzy płacili należność ratami, mimo iż książki były bardzo tanie. Piękne opowieści o Prusie, Słowackim, Chopinie, Mickiewiczu utkwily mi w pamięci. Stanisław Magierski umiał przybliżyć temat: czytał fragmenty utworów, opowiadał zdarzenia z życia autora i z ogromnym poczuciem humoru – anegdota.

Od stycznia 1950 roku przestała istnieć firma „J. Magierski i S-ka”. Właściciel przekazał swój majątek: laboratorium, magazyny, lokal nowo powstałej placówce pod nazwą: Farmaceutyczno-Chemiczna Spółdzielnia Pracy „Permedia”. Wszyscy pracownicy dawnej firmy zostali udziałowcami „Permedii”, a był właściciel, wybitny fachowiec – kierownikiem technicznym.

Nowy prezes Michał Romanek – człowiek młody, były uczestnik walk o Berlin, ruchliwy, energiczny, rzetelny sprawiedliwie rozdzielał funkcje, tworzył brygady, powoływał komisje. Między innymi komisję kulturalno-oświatową, której przewodniczyłam przez cały czas mojej pracy w „Permedii” (do 1 października 1961 roku). Do obowiązków komisji należało między innymi przygotowywanie gazetek ściennych, w co wkładaliśmy wiele serca. Za jedną z tych gazetek, wysłaną na konkurs, zdobyliśmy dyplom i pięćset złotych. Duża suma! (zarabiałam wtedy miesięcznie osiemset złotych). Za radą pana Magierskiego kwota ta została przeznaczona na kapitał obrotowy kupna i sprzedaży książek na raty. Po konkursie recytatorskim, zorganizowanym dla członków naszej spółdzielni i ich rodzin, sprzedałam na

raty pięćdziesiąt egzemplarzy „Wyboru pism” Adama Mickiewicza. „Permedia” liczyła wówczas około sześćdziesięciu pracowników. Przez osiem lat (1946–1954) rozprowadziłam tysiąc dwieście pięć tomów literatury pięknej.

Gawędy te dały początek otwartym wieczornicom poświęconym wybitnym pisarzom, muzykom, uczonym i poznaniu własnego miasta, kraju, obyczajów, rodzimych pieśni. Spotkania odbywały się na Starym Mieście w pięknej sali „Cefarmu”. Były dostępne dla pracowników innych spółdzielni. Na wieczornicach, zawsze przy pełnej sali, wypowiadali się ludzie nauki i sztuki, a grupa amatorów z „Permedii” urozmaicała spotkania recytacjami, śpiewem i muzyką. Ta grupa utworzyła zespół „Latarnia”. Recytowała także na tych wieczorach, rozmiławując nas w poezji, jedna z harcerek z zespołu na „Jaskółce” – wtedy studentka filologii polskiej, a następnie aktorka – Danuta Nagórna⁷.

⁷ Danuta Nagórna – absolwentka Wydziału Filologii Polskiej KUL i Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, aktorka teatralna i filmowa.

„Latarnia” (1953–1961)

Trudno ustalić datę powstania zespołu artystycznego „Latarnia”. Na uroczystą choinkę noworoczną w 1946 roku nauczyłam wierszy kilkoro dzieci pracowników, które potem występowały z okazji różnych świąt, rocznic i obchodów. Sprzyjającą atmosferę tworzyły też konkursy czytelnicze i recytatorskie, organizowane dla pracowników i ich rodzin. Do ubiegania się o pierwszeństwo zachęcały wspinałe nagrody, fundowane przez zakład pracy, np. „Dzieła wszystkie” Słowackiego (14 tomów). Albo dziewięć tomów oprawnych w płótno dzieł Reymonta. Oprócz nagrody głównej przyznawano książki z dedykacją dla wyróżniających się wyborem tekstu, interpretacją, a nawet estetycznym wyglądem.

„Świniopas” to pierwsze przedstawienie w kostiumach, przygotowane ze starszymi dziećmi: trzynasto-, szesnastoletnimi. Próby odbywały się w biurze. Biurka przesuwaliśmy pod ściany – żaden kłopot. Niepokoiło mnie natomiast sąsiedztwo hali produkcyjnej z chemikaliami i sprzętem laboratoryjnym. Dzieci, mimo zakazu, przemykały się tam. Truchlałam na myśl: „co by było, gdyby...”, a ciągła czujność i upominanie – męczyły.

Marzył mi się teatr o obsadzie z dorosłych, by ze sceny poruszać problemy ważne, istotne; artystycznie przekazywane słowo zaciekaWi, może przekona. Nasz kierownik techniczny, były właściciel firmy, mgr Stanisław Magierski, entuzjasta wszelkich poczynań kulturalnych, pochwalił pomysł i obiecał pomoc. Postanowiliśmy nasz program poświęcić Warszawie. Dzięki wskazówkom mądrej i życzliwej pani Zofii Marczyńskiej z Biblioteki Miejskiej, po szperaniu w starych kalendarzach, tygodnikach, wyłonił się obraz życia na warszawskiej Starówce sprzed stu lat. Szkic scenariusza podobał się, ale nikt nie chciał grać w przedstawieniu, „że to nie wypada”. Postanowiłam mój pomysł zrealizować z dziećmi. Niespodziewanie na zebraniu komisji kulturalno-oświatowej mgr Janina Januszewska powiedziała:

– Proszę powierzyć mi rolę przekupki; kiedy będę na próbie, zlikwiduję wypadki ciekawskich do hali. Zgłoszenie się do zespołu dziecięcego Januszewskiej, osoby szanowanej, najstarszej wiekiem w „Permedii”, przełamało opory dorosłych.

Podczas około dziesięcioletniej działalności „Latarni”, bo taką nazwę przyjęliśmy, godłem naszym była latarka gospodarcza, przy świetle której graliśmy nasze spektakle i tam, gdzie nie było elektryczności.

Do pracy w zespole zaangażowało się ponad pięćdziesiąt osób. Najbardziej aktywni to:

Hanka Bartmańska, uczennica technikum. Już jako piętnastoletnia dziewczyna miała świadomy, dojrzały sposób interpretacji. W rolach komicznych – mistrzyni. Butna. Znosiliśmy jej fochy, a złośliwości obracaliśmy w żart.

Janina Figłowa, laborantka. Odtwórczyni ról charakterystycznych. Pocziwa, wszystkim życzliwa – w roli katarzyniarki.

Są ludzie, na których wspomnienie rozjaśnia się twarz. Do takich ludzi należy dr Władysław Gołkiewicz⁸. Ma miły, ciepły głos, piosenkarz i gawędziarz, gra na pianinie i gitarze, wyróżnia się rzadko spotykaną galanterią i kulturą bycia. Mimo że poświęcił się pracy naukowej w Akademii Medycznej, nie stracił kontaktu z ruchem amatorskim. Obdarzony niezwykłą pomysłowością i wyczuciem sceny, Gołkiewicz pisze scenariusze, obmyśla sytuacje dla chętnych do zabawy w teatr. Dotąd wiem, że mogę liczyć na jego niezawodną pomoc.

Jadwiga Grzywaczewska, nasza piosenkarka, córka kierowcy, który ciężarówką „Permedii” woził nas na wieś w każdą niemal niedzielę, bez względu na pogodę i porę roku; przez wertepy i wyboje docieraliśmy do miejscowości położonych z dala od bitej drogi. Grzywaczewska poruszała się lekko, na swój sposób interpretując, w roli Syrenki wprowadzała w nastrój legendy.

Mgr Barbara Krzywicka. Smukła, wytworna młoda dama, zawsze poprawna. Dr Hanna Krzywicka, siostra Barbary, w widowisku „Przez tysiąc tak idę lat” grała Iżę w obrazie napisanym przez Władysława Gołkiewicza według „Insurekcji” Władysława Reymonta. Partnerem jej był dr Zbigniew Jóźwik w mundurze ułana; tworzyli oni romantyczną parę.

Jadwiga Krawczyńska – laborantka, odtwórczyni ról poważnych. Zaskakująca dojrzałością w przekazywaniu wielkich idei. Dramat Norwida „Wanda” w wykonaniu Krawczyńskiej był jasny, zrozumiały. Jej głos metaliczny, czasem przechodził w gorący szept, przejmujący bólem i cierpieniem.

⁸ Prof. dr hab. Władysław Gołkiewicz – absolwent Wydziału Chemii UMCS, kierownik Katedry Chemii Nieorganicznej i Analitycznej Akademii Medycznej w Lublinie.

Anna Kotarska – laborantka, pogodna, koleżeńska i Waław Kurowski – technik chemik, to pierwsza, ale nie ostatnia para małżeńska w „Latarni”. Kurowski po awarii jakiegoś zaworu w laboratorium miał oparzony kark. Na próbę generalną przyszedł obandażowany, z szyją fioletową od gencjany, z twarzą nabrzmiałą, czerwoną. Wyglądał jak upiór. Mimo to chciał grać. Do gotowego kostiumu doszyłam kaptur – wyglądał nawet interesująco. Państwo Kurowscy na prezent ślubny dostali od zespołu sprzęty elektryczne: kuchenkę, prodiż, żelazko i grzejnik.

Zofia Komza – laborantka, tak zaaferowana teatrem, że pisząc list do syna, odbywającego służbę w wojsku, zaczęła wprawdzie „Kochany synku”, dalej zaś napisała swoją rolę zielarki znachorki w „Jarmarku Lubelskim”; były to zaklęcia i odczyniania. Chłopak przejął się „chorobą matki” i przyjechał. Było dużo śmiechu.

Teresa Kalinowska z zespołu dziecięcego. To ona przyniosła tekst „Świniopasa” zniecierpliwiona, że „ciągle tylko wierszyki – zróbmy raz bajkę”.

Teresa Ludwińska – studentka KUL-u. Podczas dwuletniego stażu w „Latarni” grała Nike spod Cheronei w „Nocy listopadowej” Stanisława Wyspiańskiego. Ogromnie skupiona, panowała nad wzruszeniem, aby autentycznie nie płakać, co się jej nie zawsze udawało.

Mgr Marta Magierska, wówczas studentka polonistyki. Z dziewczęcą nieśmiałością – królewska. Dobre warunki zewnętrzne; jej Barbara Radziwiłówna w plenerze, na lubelskiej Starówce, zyskała uznanie tłumu widzów i wielkie brawa. Godnym partnerem jako Zygmunt August był Zbigniew Józwik, który na tę okazję zapuścił brodę. Dotąd ją nosi.

Dr Lidia Kościółkówna, wtedy studentka medycyny, dzielna dziewczyna, zaaferowana, dzieliła czas między wykłady, praktykę w szpitalu i próby „Latarni”.

Urszula Milanowska – laborantka, umiała skupić uwagę słuchaczy. Oto przykład: proszono nas o część artystyczną na międzyspółdzielniarnej naradzie prezesów. Czekaliśmy cierpliwie na koniec debat, wreszcie zapowiedziano występ „Latarni”. Wszyscy uczestnicy narady, jak na komendę wstali z krzesel, kierując się do wyjścia. Nie speszżyło Urszuli trzaskanie krzesel; spokojnie, mocno, pełnym, dźwięcznym głosem recytowała: „Równino mazowiecka...” Panowie prezesi przystanęli, po chwili usiedli i program dawaliśmy bez skrótów, przerywany oklaskami.

Pamiętam duet – Zosia Puchałówna i ułan Antoni Majczak, on urodziwy młody mężczyzna, którego sylwetkę zdobił mundur i czako, poza tym antytalent aktorski, wyjątkowe drewno i Zosia – czternastoletnia dziewczynka, która raz delikatnie nieśmiało, to znów żywiłowo i gorąco wypowiadała swoje szczęście ze spotkania ułana.

Alina Radomska – technik chemik, filar zespołu. Śpiewała, mówiła, recytowała; równie dobra w wiązance szlagierów jak w liryce. Zmieniała oblicze jak kameleon. Pracowita. Wiele czasu poświęcała „Latarni”, bez względu na porę doby: szyła, farbowała, kleiła i przy tych wszystkich zaletach – kapryśna.

Teresa Romankowa – żona prezesa naszej spółdzielni. Sentymentalna, łatwo wpadała w patos.

Barbara i Zbigniew Sygar – „Podrośnięte” rodzeństwo z zespołu dziecięcego.

Maria Sochowa – mówiła wiersze na wystawie „Życie i twórczość Adama Mickiewicza”. Po czym opuściła „Latarnię”.

Barbara Tokarzewska, żona naszego inżyniera, elegancka w prostocie, wytworna, skupiona, poetycka.

Krystyna Walencik pełna naturalnego czaru. Dla niej Magierski napisał „Kwaciarkę”. Obdarzona dużymi możliwościami, władca jako Kora w „Nocy listopadowej”, a „Legendę o Matce Boskiej” M. Reszczyńskiej mówiła sercem – żarliwie. Ludzie płakali.

Sylwester Błach, technik budowlany, mimo że mieszkał pod Lublinem, uczestniczył we wszystkich poczynaniach „Latarni”.

Mgr Zbigniew Czekajski, kierownik techniczny „Permedii”. W roli nocnego stróża, wsparty na halabardzie, sugestywnie wsłuchiwał się w szept starych kamieniczek, „co sobie bają i gwarzą”.

Jan Chmielewski z zespołu dziecięcego, sprytne pacholę.

Kazimierz Czuryszkiewicz, Edward Dybała, mgr Edward Maruszak, Tadeusz Śwircz, inż. Donat Niedzielski, Czesław Pereta, Stefan Wielogórski, inż. Jeremiasz Zbraniborski, Tadeusz Zgardziński, Tadeusz Trójniak, Zbigniew Kruk – wszyscy z działu, który pracował na trzy zmiany, dlatego nie mogli grać żadnej wiążącej roli, stanowili tłum szlachty w plenerowym widowisku „Z Latarnią przez wieki” wystawianym na Rynku Starego Miasta.

Władysław Drozd technik chemik, któremu zdarzyło się zabawne wyróżnienie; po spektaklu w fabryce przetworów owocowych w Milejowie gospodarze ogłosili konkurs na najpiękniejszego pana. Do zabawy włączyli się także nasi aktorzy. Tytuł „Mister Milejowa” zdobył Władysław Drozd. Była dekoracja wstęgą, kwiaty i wiwaty. Podnieceni widzowie chcieli opijać zdarzenie, ale udało się w porę odjechać dzięki zwyczajowi pakowania kostiumów natychmiast po ostatniej kwestii aktorów na scenie.

Stefan Figiel, urzędnik, tenor z dużą łatwością emisji, zawsze taktowny.

Paulin Furmanek, technik chemik, aktor amator i pracowity fotograf. Na wystawę mickiewiczowską wykonał ponad trzysta okładek programu wieczoru poezji.

Zbigniew Józwik⁹, niezmiernie pracowity, entuzjasta działania. Próbował pisać wiersze, chciał śpiewać, rzeźbił, malował, rysował, ciągle szukał i odnalazł się w grafice. Nazwisko doktora Józwika znane jest nie tylko w Polsce. W „Latarni” występował kilka lat zawsze z wielkim oddaniem.

Czesław Paczosa, technik chemik ożywiony pasją teatru, nawet gdy przestał pracować w „Permedii” przyjeżdżał na próby z Chełma. Zdolny i pracowity, przy tym miał warunki zewnętrzne, toteż zbierał brawa.

Kazimierz Pisula, elektryk, czuł się potrzebny w zespole. Ciągłe majsterkował i gromadził: rampy, podświetlacze, reflektory, które nigdy nam się nie przydały, bowiem dawaliśmy przedstawienia na niezelektryfikowanych wsiach, przy świetle naftowych lamp gospodarskich.

Jan Sankowski, księgowy, pierwszy konferansjer „Wodewilu warszawskiego”, bez cienia tremy wprowadzał postacie dramatu na scenę, a rolę szlachcica bawił się – rubaszny i beztroski.

Tadeusz Nowak, Janusz Tylec i Edward Zięba grali z wielkim zaangażowaniem fragment „Bolesława Chrobrego” A. Gołubiewa; adaptacji dokonała dr Zenobia Kitówna. Stroje robili sami aktorzy. Własnoręcznie wykonali hełmy, pancerze, tarcze i miecze lśniły jak ze stali; z ramion spływały bogate płaszcze, na które materiał sami kupili. Całość robiła duże wrażenie. Do dzisiaj pamiętam poselstwo niemieckie i ukaraną butę.

Stanisław Zawadzki, technik chemik. Rosły, mocnej budowy, donośnym głosem umiał wydobyć słowo, młodzieńczy zapał i energię.

Mgr Waldemar Kisieliński – nasz krytyk; pisał nie tylko gniewne satyry, głównie pod moim adresem, ale także piosenki dla dzieci i złośliwe teksty kabaretowe.

Dr Jerzy Kuczyński przychodził na nasze sobotnie spotkania i chociaż nie brał udziału w naszych wyprawach z przedstawieniami, był potrzebny: a to rozwiązał jakiś problem, zaproponował ciekawą trasę wyprawy; jego autorstwa jest tytuł widowiska poświęconego Lublinowi: „Siła uciech i facecji gwoli przypomnienia, jak to herbowemu koźlęciu brody przybywało”.

Poza aktorami istniała grupa, która przyczyniła się do osiągnięć „Latarni”. Danuta Magierska była autorką programów powielanych na maszynie w kilkuset egzemplarzach i

⁹ Dr Zbigniew Józwik – adiunkt w Zakładzie Fizjologii Roślin UMCS, uprawia grafikę artystyczną i użytkową, autor ponad pięciuset exlibrisów.

oprawianych w okładki wykonane ręcznie przez: Zbigniewa Czekajskiego do wystawy S. Wyspiańskiego, Paulina Furmanka do wystawy A. Mickiewicza, Barbarę Koterwas do wystawy „Lublin, miasto historyczne” i Jana Magierskiego¹⁰ do widowiska przygotowanego na lipcową wyprawę: „Przez tysiąc tak idę lat”. Magierska zredagowała „Jednodniówkę” z okazji pięćdziesiątego spektaklu „Wodewilu warszawskiego”; pisała zindywidualizowane dedykacje na nagrodach książkowych; do chwili obecnej niezawodna w wyszukiwaniu patriotycznych tekstów literackich i piosenek.

Mgr Stanisław Magierski aresztowany za przynależność do Armii Krajowej wyszedł z więzienia w lipcu 1945 roku. Zapamiętałam dzień jego powrotu. Właśnie debatowaliśmy, jak sprawdzić, czy tym razem nowina prawdziwa, gdy wszedł. Był bardzo blady, tak blady, że wydał mi się przezroczysty, przez chwilę ogarnął nas wzrokiem. „Dzień dobry” – powiedział i przeszedł do laboratorium. Pracował cały dzień, zjadł obiad przyniesiony z domu i został na próbie zespołu dziecięcego, aby akompaniować do piosenek w przygotowywanej bajce. Stanisław Magierski to postać najważniejsza, bez której nie wyobrażam sobie istnienia, rozwoju i poziomu „Latarni”; to on dał jej twórczy impuls. Od pierwszych dni istnienia zespołu pisał dla nas melodie, wskrzeszał w piosence postacie ze Starówki warszawskiej.

Oto fragment piosenki kwiaciarki, śpiewanej jeszcze w chwili obecnej przez zespół „Ziółko”, czyli po dwudziestu trzech latach od jej powstania¹¹.

*Fiołki sprzedają i róże czerwone,
Rezedę, bzy i jaśminy,
Lecz goździk czerwony piękniejszy niż one,
Więc kup go dla swej dziewczyny,*

*Kwiat powie jej więcej, niż skryte twe serce,
Niż usta powiedziec są w stanie.
Wiem dobrze po minie, że jesteś w rozterce,
Więc zanieś bukietek jej, panie.*

¹⁰ Dr Jan Magierski – syn Stanisława, pracownik naukowy Instytutu Gleboznawstwa Akademii Rolniczej w Lublinie, znany lubelski fotografik.

¹¹ Powyższy fragment wspomnień powstał między rokiem 1982 a 1983. W tym czasie Barbara Koterwas pracowała z ostatnim swoim teatrem, noszącym nazwę „Ziółko”, który tworzyła grupa osób skupionych w Klubie Seniora mieszczącym się przy ulicy Świętoduskiej.

W programach „Latarni” wykorzystywaliśmy wiersze i piosenki napisane podczas okupacji. Między innymi tekst E. Wojciechowskiego „Zawołanie” z melodią S. Magierskiego. Piosenka ta zawędrowała w tubie pasty do zębów aż do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, tam odczytały ją i śpiewały więźniarki z Lublina (wiosna 1943).

*Przez toń sinych mórz, ziem daleki szlak,
Ojczyzna wam śle pozdrowienia znak:
Woń łąk, lasów, pól zielonych i kościołów dzwony
Ojczyzna wam śle pieśń rodzinnych stron,
Słowa polskie w strony obce,
Bywaj! Czołem chłopcy!
Wracajcie już czas. Czeka na was dom.*

Oprócz grona autorów tekstów piosenek, nie mniej pożyteczni, a nawet niezbędni byli ludzie, których praca czysto techniczna tworzyła formę naszych wystaw, plansz i plakatów. Taki jest inż. Jerzy Konarzewski, były harcerz, członek zespołu na „Jaskółce”. Zawsze gotowy do działania. Dzięki jego mrówczej pracy nasze wystawy zyskiwały indywidualny wyraz graficzny, który poza treścią oddziaływał przez precyzję pisma. Doktor Zenobię Kitównę¹² cechuje energia, bystrość obserwacji, świetna pamięć; patriotyzm oparty na znajomości historii Polski, której najnowsze dzieje z pasją studiuje. Przedsiębiorcza. Pogodna. Mówiło się o niej w „Latarni” – „Druhna Zenka, trzy, cztery i już jest piosenka”.

W programie wydanym w 1958 roku z okazji pięciolecia istnienia „Latarni” jest artykuł „Słowo o nas”, który najlepiej naświetla dążenia zespołu:

„Latarnia” jest zespołem amatorskim, złożonym z pracowników Spółdzielni Pracy Chemiczno-Farmaceutycznej „Permedia” w Lublinie. Celem wszystkich poczynań „Latarni” jest dostarczenie kulturalnej rozrywki ludziom mieszkającym w najbardziej zapomnianych i zaniedbanych wsiach naszego województwa.

Staramy się nieść tam piękną mowę polską, poezję i prozę. W satyrze wyśmiewamy nasze przywary, jak: brak wytrwałości, lenistwo, nieuczciwość, lekkomyślność i pijaństwo.

¹² Dr Zenobia Kitówna – polonistka, wieloletni pedagog w Technikum Kolejowym w Lublinie, dyrektor Społecznego Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Batorego w latach 1994–1995; autorka adaptacji scenicznych dla „Latarni”, m.in. „Bolesława Chrobrego” Antoniego Gołubiewa.

Pragniemy w miarę możliwości dopomagać człowiekowi w znajdowaniu słusznego, sprawiedliwego i dojrzałego spojrzenia na sprawy Życia, ukazywać bohaterstwo zmagających z trudem szlachetnej drogi uczciwości, miłości ojczyzny i wierności idei postępu,

Wszystko w „Latarni” jest owocem naszego trudu: teksty dobieramy i gromadzimy sami; oryginalne melodie i teksty piosenek są często układane przez nas samych, dekoracje i kostiumy malowane i szyte są z materiałów przez nas farbowanych; wszelka pomoc techniczna jak rekwizyty, światło, itp. jest również dziełem naszych rąk. Żadna praca nie jest płatna.

Zakres zainteresowań i działalności naszej jest szeroki, często urządzamy godziny poezji, wystawy stałe i przenośne, bierzemy udział w konkursach recytatorskich itp. Zespół nie rezygnuje z żadnego sposobu kulturalnego oddziaływania.

Zastanawiam się, jak to się stało, że w jednym zakładzie znalazła się tak liczna grupa ludzi o zamiłowaniach artystyczno-kulturalnych i razem pracowała przez kilkanaście lat. A obecnie, mimo zajmowania przez nich poważnych stanowisk, współpracują ze mną nadal. Za co im w tym miejscu dziękuję.

Wystawa: życie i twórczość Adama Mickiewicza (1955)

Setną rocznicę śmierci Adama Mickiewicza obchodzono w „Permedii” uroczyście. „Latarnia” przygotowała II część „Dziadów” i recytacje wierszy. Nasz program cieszył się powodzeniem. Z zakładów pracy, harcerstwa, szkół napływały prośby o mickiewiczowski program. Wobec rosnącego zainteresowania poezją, członkowie „Latarni” przy współudziale pracowników naszej spółdzielni zorganizowali wystawę pt. „Droga życia i twórczości Adama Mickiewicza” w lokalu świetlicy „Chochliki” przy ul. 1 Maja 23, czynną od 6 do 20 listopada 1955 roku.

Duża izba, bez zaplecza, z wejściem wprost z ulicy. Brudno, bardzo brudno. Tynk poobijany, szyby sklezione afiszami, a z podłogi, nim się ukazały deski, zeskrobaliśmy parę wiader błota, obielenie sufitu, wytapetowanie ścian falistą fakturą, szorowanie, mycie nadało wnętrzu estetyczny wygląd. Plansze, gabloty, mapa podróży obrazowały etapy życia poety i jego twórczości. Znalazły się tutaj bibliofilskie egzemplarze dzieł wypożyczone z Biblioteki im. Hieronima Łopacińskiego. Umieszczona w oknie scena ustawiona z lalek – „Zosia karmiąca kury” zwracała uwagę przechodniów. „Gdyby te książki zbłądziły pod strzechy” głosił napis nad chatą krytą słomą, którą zbudował Adam Walencik. Przed tą chałupą laleczki w strojach krzeczonowskich trzymają „Pana Tadeusza”. Umieszczona przy wejściu, widoczna z ulicy makietka kaplicy i odbywający się tam obrzęd „Dziadów” (też lalki) wywoływała najczęściej komentarze. Laleczki wykonałam na drucianych szkieletach, mogły one przybierać różne pozy. Twarze, które rzeźbiła artystka malarka Zofia Gilarowska-Kietlińska nadawały charakter postaciom. Te barwne maleństwa przyciągały wzrok, zachęcały do czytania tekstu.

Wystawę mickiewiczowską zwiedzało około tysiąc osób dziennie, a poezja mówiona tam przez „Latarnię” codziennie od godziny dziewiętnastej, zyskiwała coraz więcej słuchaczy. Wykonawcy wieczoru mieli opracowane wiersze, ballady i fragmenty poematów. Nie ustalałam dyżurów. Przed rozpoczęciem „Godziny poezji” układałam program z repertuaru recytatorów, którzy zgłosili się tego dnia. Słuchaczy przybywało. Raz się zdarzyło, że na próżno czekałam na „latarniowców”. Tego dnia przywieźli do „Permedii” opakowania, przy rozładowaniu wagonów pracowali wszyscy – fizyczni i umysłowi. Imprezę zaczęłam punktualnie. Z otwartej książki mówiłam prawie na pamięć tylko te utwory, które

opracowaliśmy na tę okazję. „Godzina” przedłużyła się. Od stałych bywalców padały prośby o wiersze. Wytworzył się serdeczny nastrój.

Ostatni dzień wystawy obfitował w wydarzenia. Niedziela. Przed południem odbył się konkurs ogłoszony dla młodzieży ze środowiska. Wykonawcy bardzo przejęci, poziom różny. Trudna ocena. Wszystkich szesnastu recytatorów obdarowaliśmy egzemplarzami „Pana Tadeusza” (za trzy złote) z dedykacją: „Na pamiątkę Roku Mickiewiczowskiego”. Tego dnia po południu wpadła do świetlicy „Chochlika” pani Eugenia Bożyk, wielce zaniepokojona o lokal i nie licząc się ze zwiedzającymi wykrzykiwała donośnie o „prawie i bezprawiu”. Nasze zapewnienia, że nie mamy zaborczych zamiarów okupowania pomieszczenia zażegnały burzę. Spodziewaliśmy się zwiększonej frekwencji na „Godzinie poezji”, usunięto stoły, gabloty i sceny lalek. Rzeczywiście przed godziną dziewiętnastą zaczęła napływać publiczność. Było pełno, myśleliśmy, że nikt już się nie wciśnie, a przecież co silniejsi wchodzili. Wreszcie uznano, że nie ma miejsc. Zamknięto salę. Innego zdania byli ci, którzy chcieli jeszcze wejść i słuchać wierszy. Drzwi pchane silnymi ramionami trzeszczały, ale wytrzymały napór, futryna nie od razu ustąpiła, parokrotnie przechylała się do wnętrza świetlicy, to na ulicę. Wreszcie pokonaną, paru mężczyzn zaniósł na podwórze. Program trwał do północy. Po imprezie zdjęliśmy naszą dekorację i falistą takturę za ścian. Wstyd się przyznać, ale żalowaliśmy, że nie można zabrać „obielenia sufitu”. Paru słuchaczy zostało, aby bezinteresownie pomóc przy wstawieniu na miejsce futryny. Dużo było biegania i starań o cement, piasek, haki. Zdążyliśmy przed przybyciem pani Bożyk.

Wystawa: „Lublin miasto historyczne” (1955)

Na frontowej ścianie herb Lublina, kozioł skaczący na winorośl. Pod nim napis, którego początkowy fragment brzmiał: *Wśród urodzajnej wyżyny, na dominujących nad okolicą wzgórzach lessowych, w czasach, których pamięć historii nie sięga, Lublin bierze swój początek...*

Wystawa „Lublin miasto historyczne” to najbardziej pracowita impreza, jaką urządziliśmy. Przygotowania trwały cały rok 1956. Pierwszy etap ekspozycji wystawy w Domu Kultury Kolejarza trwał od 3 do 31 stycznia. Zwiedziło ją tam około siedmiu tysięcy ludzi. Makiecie „Przypuszczalny wygląd Lublina w X w.”, na skutek notatki naukowca w książce pamiątkowej, zmieniliśmy tytuł na „Lublin w czasach prehistorycznych”. Notatka brzmiała: *biorąc pod uwagę wysoki stan organizacji państwa polskiego za czasów Mieszka I, niski prymityw pokazany na makiecie – jest błędny i niesłusznie dyskredytuje umiejętności budowlane naszych przodków*. Podpisał docent T. J. – podpis nieczytelny, ale podany adres.

Następny dział to wkład królów i książąt w rozwój Lublina za panowania Piastów, Jagiellonów i królów elekcyjnych. Na szerokich planszach własnej roboty, krytych brązowym aksamitem, portrety królewskich dobroczyńców naszego miasta. Przy każdym z nich widoki budowli powstałych za ich panowania. Reprodukcje obrazów starego Lublina i fotografie ilustracji z książek, rozmieszczenie materiałów na planszach i opracowanie historyczne wykonane przez osiemnastoosobowy zespół „Latarni”.

Wielki dział „Poznaj ludzi, od których wzięły nazwy lubelskie ulice”. Trzydzieści osiem plansz z portretami i biografiami patronów ulic naszego miasta, wykonali nie tylko członkowie „Latarni”, ale także pracownicy spółdzielni „Permedia” z rodzinami. Przepisywał je pięknym czytelnym pismem Jerzy Konarzewski. Kartony te, obciążone szarym płótnem, napięte na drewnianych stojakach, mimo ustawienia w „harmonijkę” zajmowały pół sali konferencyjnej w Ratuszu. W urzędzeniu tego działu wielką pomocą była życzliwość Zofii Marczyńskiej, która wypożyczała bez ograniczeń potrzebne nam książki, a Małgorzata Szewczyk, polonistka, czuwała nad poprawnością tekstów.

Po zwinięciu wystawy w DKK mieliśmy parę wizyt i telefonów od miłośników Lublina z propozycją wznowienia wystawy. Dyrektor PTTK Pajdowski i inni ofiarowywali swą pomoc. Ludzie z miasta przynosili stare pocztówki z widokami Lublina, prof. Stefan

Wojciechowski udostępnił swój zbiór numizmatów z wykopalisk lubelskich, a młodzi naukowcy z UMCS przedmioty ceramiczne sprzed czterech tysięcy lat, wykopane w dzielnicy Czwartek.

Wobec takiego dopingu i bezpłatnego udostępnienia reprezentacyjnej sali w Ratuszu przy placu Łokietka, po odświeżeniu i uzupełnieniu, otworzyliśmy wystawę 7 marca 1957 roku. Rangę wystawy podniosły bezcenne eksponaty historyczne, jak wykopaliska, opis rozwoju drukarstwa w Lublinie od 1630 roku, pierwsze książki wydane w drukarni Pawła Konrada oraz kilka książek dotyczących Żydów lubelskich i w gablocie, na aksamicie, pięknie zachowany pergamin, przywilej króla Zygmunta Augusta dla miasta Lublina z datą 1552 r. Atrakcją był wypożyczony z Trybunału stół z wypaloną łapą diabelską, obok opisana legenda o czarnej łapie i makieta z lalek ilustrująca sąd diabelski.

Wystawa przy placu Łokietka nie miała spokojnej ciągłości, ponieważ sala była wypożyczana na inne imprezy. Po czterech dniach, mimo ogromnego powodzenia, zamknięto lokal dla zwiedzających. Wyniesiono gabloty i stół trybunalski, zostawiono te eksponaty, które były na ścianach i ekranach. Zarząd Ratusza wynajął pomieszczenia na jakąś konferencję. Przez noc uprzątnęliśmy i znieśliśmy z piętra gabloty. Stół z piwnicznego korytarza. Leżały tam bez żadnego zabezpieczenia! Królewski przywilej, pierwsze druki lubelskie, wykopaliska, monety...

Mieliśmy i tak szczęście. Woźny, który cały czas asystował przy urządzaniu stanowisk służąc podręcznymi narzędziami, należycie ocenił wartość eksponatów. Nocował w Ratuszu. Pilnował. Spał na schodach prowadzących do korytarza ze złożonymi tam sędziwymi pamiątkami. Nie zanotowałam jego nazwiska. Szkoda. 12 marca wznowiliśmy wystawę. Zwiedzały ją tłumy ludzi. Mimo tego ogromnego powodzenia wynajęto salę na „Degustację garmazeryjną”. I tym razem nikt nas o tej imprezie nie poinformował. Woźny sam prznosił bezcenne eksponaty do korytarza suterren. I znowu 19 marca mycie w nocy, sprzątnięcie, aby można było wprowadzić wystawę.

Została powtórnie udostępniona zwiedzającym od 19 marca, dotrwała do 28 marca. Tłumy, tłumy zwiedzających. Któregoś dnia liczyliśmy ich przez godzinę: ponad tysiąc! Reklamę robiły miejscowe dzienniki. Do 28 marca cieszyła się niesłabnącym powodzeniem, została przerwana Konferencją Związków Zawodowych. Znowu sprzątnęliśmy. Od 30 marca czynna była już bez przeszkód. 11 kwietnia wystawę „Lublin miasto historyczne” zwinęliśmy.

Długo jeszcze dzwoniły telefony, mieliśmy propozycje prezentowania jej w PTTK Lublin i liceum w Puławach, ale już nie chciałam przedłużać wypożyczeń z Biblioteki im.

Łopacińskiego; przy tym dziesięciogodzinne dyżury pełnione przez osiemnastoosobowy zespół „Latarni” coraz trudniej było obsadzić. A ciągłe przeprowadzki dawały się we znaki organizatorom i eksponatom.

„Brązowa Piętnastka” (1957–61)

W poczet wypróbowanych przyjaciół „Brązowej Piętnastki” zostałam uroczyście przyjęta decyzją Rady Drużyny w styczniu 1957 roku. Trzydzieści dwie drużyny, karne i chętne do pomocy, przez parę lat włączały się do różnych poczynań „Latarni”. Pierwszą wspólną działalnością była pomoc repatriantom. Polacy ewakuowani w głąb ZSRR, przetrwali tam czas wojny i dopiero wracali do kraju. Odzież w strzępach, niektórzy dla ciepła obwiązani szmatami. Zorganizowaliśmy imprezę dochodową – kostiumowy bal dla dzieci, który odbył się 21 lutego 1957 roku w pięknej świetlicy Cepelii i przyległych dwu pokojach specjalnie na ten cel uprzątniętych. Teatrzyk kukielkowy „Zielony Motyl” przedstawił bajeczki. Harcerki prowadziły korowody i tańce, gry towarzyskie i wędkę szczęścia, robiły maskotki i kotyliony. Dochód z imprezy wyniósł 2408 złotych i został wpłacony do PCK.

Drużyny z „Brązowej Piętnastki” pomagały na zabawach dla dzieci, które organizowała „Latarnia”. Drugi rozdział współpracy, to pełnienie dyżurów przewodniczek po wystawie: „Stanisław Wyspiański – malarz, poeta, dramaturg” – wykonanej przez „Latarnię” w listopadzie 1957 roku. Ekspozowana była w kilku punktach miasta. Mimo wieczorów poezji i przychylnych wzmianek w dziennikach lubelskich nie wzbudzała zainteresowania. Po roku płótna wystawy przekazaliśmy Technikum Pszczelarskiemu. Służyły tam jako pomoc naukowa.

Na Dni Książki 3 i 4 maja 1961 roku z „Brązową Piętnastką” przygotowałam składankę „Chwila parady”. To piętnastominutowe widowisko o książce prezentowane było przechodniom na placach i ulicach Lublina. Drużyny w mundurach szły dwójkami niosąc rozpięte na drzewcach siedmiometrowej długości szare płótno – wędrowną wystawę książki, wykonaną przez „Latarnię”.

Po obydwu stronach tego transparentu rozmieszczono obwoluty książek, portrety pisarzy, fragmenty wierszy i aforyzmy. Na przedzie maszerującej drużyny biegła harcerka zwołująca kołatką przechodniów. Dziewczęta stawały półkolem prezentując „Chwile parady” na tle barwnej wystawy książki.

3 maja „Chwile parady” odbyły się na ul. 22 Lipca, na placu Litewskim, na stopniach Ratusza, przed Trybunałem, na placu Wincentego Pola i przed Zamkiem. 4 maja

wyruszyliśmy sprzed Trybunału na ulicę Buczka. Występowaliśmy przed szkołą na Bronowicach, przed klubem na ZOR Bronowice, na ul. Rolnej i na ul. Rozdroże, gdzie zwinęliśmy wystawę, Imprezie towarzyszyły gromady dzieci w różnym wieku. Drugiego dnia naszych pokazów, po zwinięciu wystawy podszedł do nas czteroletni chłopczyk i zapytał:

– Gdzie ja mieszkam?

Wracaliśmy szlakiem naszej marszruty z wystawą. Dziewczęta niosły malca na plecach, klucząc doszliśmy do punktu naszego wyjścia sprzed Trybunału. Tylko weszliśmy w Bramę Krakowską, dzieciak zsunął się z pleców i pobiegł... zdaje się, że na ul. Złotą.

Wódka (1958)

Na prośbę pana J. Woźniakowskiego z Wojewódzkiego Komitetu Przeciwalkoholowego zrobiliśmy dziesięć plansz na temat walki z alkoholizmem. Otwarcie tej wystawy w holu kina „Wyzwolenie” zainauguowało Tydzień Przeciwalkoholowy. Włączyliśmy się do pochodu, który z tej racji przeszedł ulicami centrum z hasłami na transparentach. „Latarnia” przygotowała fraszki Władysława Gołkiewicza, prezentowane na samochodzie „Permedii”. Po bokach plandeki wypisaliśmy przysłowia: „Robota nie w pamięci, gdy gorzałka we łbie kręci” i „Od wódki rozum krótki”. W pochodzie abstynentów wzięły udział organizacje młodzieżowe. „Latarnia” zamykała pochód. Na trasie wstrzymano ruch uliczny, całe miasto udekorowano plakatami antyalkoholowymi.

Wyruszyliśmy sprzed gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej, przez Ewangelicką, Krakowskie Przedmieście do placu Łokietka. Nasz program to kabaret wyśmiewający pijaków, a mój debiut. „Bardzo dobry pomysł w sprzedaży trunków – krzewi się pijaństwo w najlepszym gatunku” – krzyczałam bardzo przejęta. Wystąpiłam w roli wódki w wielkiej butelce z otworem na twarz pod etykietą „Czysta wyborowa”. Pozostali członkowie zespołu ubrani w ciemne peleryny i kołpaki-maszkary: świni, małp, osła, barana i diabła – wszyscy trzymaliśmy w ręku tuby nagłaśniające, przez które mówiliśmy teksty:

Pijak w butelkę wódki pchał z uporem nogę,

Mówiąc: ty weszłaś we mnie, ja też w ciebie mogę.

Na to pijak drugi odwrzasnął koledze:

Nie pchaj się tak bardzo! Przecież ja tu siedzę.

Oklaskiwano też naszą litanię:

Jeżeli chcesz, żeby cię własne dzieci przeklinały

Bądź pijakiem.

Jeżeli chcesz chodzić obdarty

Bądź pijakiem itd.

Po każdej fraszce burza oklasków. Aby podać następny tekst, puszczałyśmy w ruch drewnianą kołatkę. Obok gmachu poczty najniespodziewaniej z grupy wyrostków posypały się ogryzki, któryś krzyknął: „Święci do nieba”. Tłum uspokoił ich i wchłonął rozrabiaków. Jechaliśmy dalej kontynuując program. Towarzyszyły nam ogromne tłumy ludzi. Harcerze poszli Królewską i tam zwinęli proporce, a my wjechaliśmy przez Bramę Krakowską i przed Trybunałem zakończyliśmy popisy. Był to nasz najkrótszy program przy najliczniejszej widowni.

Wystawa: „Powstanie Warszawskie” (1959)

Kolega ze studiów Władysława Gołkiewicza podjął pracę nauczyciela w Krasieninie. Zwierzył się, że krążą pogłoski o bojkotowaniu wywiadówek. Postanowiliśmy zachęcić rodziców występami. Niezastąpiona, równie świetna w repertuarze poważnym jak lekkim, recytatorka i piosenkarka – Alina Radomska, akompaniator i pieśniarz, wtedy student – Jan Magierski, śpiewak, akompaniator, gawędziarz – Władysław Gołkiewicz i ja. Wywiadówka zaciekała. Przyszli nie tylko ci, którzy mieli dzieci w szkole. Po wykonaniu paru piosenek dedykowanych rodzicom i zaproszeniu przez nas wszystkich mieszkańców Krasienina na godzinę osiemnastą, zabrał głos nowy nauczyciel.

Wieczorem ludzie przyszli, zasiedli w ławkach, słuchali. Piosenki i wiersze o Powstaniu Warszawskim, z których składał się nasz program, nie trafiły do widzów. Siedzieli spokojnie, obojętni, jakby nieobecni. Wydał mi się dziwny ten odbiór. Po skończonym koncercie kilku mężczyzn zostało na widowni. Zadawali dużo pytań. Z rozmów tych można było sądzić, że niewiele wiedzieli o powstaniu.

Doświadczenie z wystawą mickiewiczowską i wiara w siłę oddziaływania wizualnego, stały się teraz niemal nakazem upowszechniania historii bohaterskich walk w Warszawie. Zwróciłam się do zaprzyjaźnionej z „Latarnią” entuzjastki Powstania Warszawskiego – Zenobii Kitówny. Z materiałów wspólnie zebranych opracowała ona historię walk powstańczych. Fotografie, mapki, szkice sytuacyjne, afisze, wiersze i pieśni z powstania tak rozmieściła, że napisy pod rycinami same stanowiły historię walk w dzielnicach Warszawy.

Wystawę „Powstanie Warszawskie”, rozmieszczoną na 14 planszach z tektury, cechuje zupełna prostota, wyrażająca najlepiej wielkość sprawy. Jediną jej ozdobą jest piękne i czytelne pismo. Wykonał je z pieczołowitością godną tematu, Jerzy Konarzewski członek dawnego zespołu harcerskiego na „Jaskółce”. Dla łatwego przewożenia wystawy uszyliśmy dla niej pokrowiec, w którym bezpiecznie wędrowała. Nie mogę się doliczyć w ilu miejscowościach była i w ilu jeszcze będzie eksponowana. Wart zanotowania jest jej odbiór, na przykład przy planszy ze znakiem Polski Walczącej, na której widnieje liczba poległych w powstaniu, zapalano świece, przy barwach narodowych zdejmowano czapki, kładziono

kwiaty, często w skupieniu, półgłosem odczytywano teksty. Na ostatniej planszy oddawaliśmy hołd:

*Warszawie miastu nieujarzmionemu
miastu krwi i chwały, bohaterskiej i nieulękłej nigdy
przed żadną przemocą
stolicy narodu polskiego,
jego sercu, natchnieniu i pobudce
do walki o lepsze jutro,
Warszawie – chlubie naszej historii,
Warszawie – nowej, przodującej
w pracy i odbudowie
Warszawie – naszej polskiej dumie.*

*W skromnym hołdzie
amatorski zespół artystyczny „Latarnia” zrzeszony w Związku Teatrów Amatorskich
w Lublinie*

Wóz (1959)

O lipcowej wyprawie na Roztocze mówiliśmy wiele już w styczniu. Na sobotnich próbach wytyczaliśmy trasy, ustalaliśmy repertuar, liczyliśmy chętnych, pisaliśmy fraszki i odezwy.

Latarniowcy

*Od dawna wiadomo jest w „Latarni” wszystkim,
że w lipcu udajemy się w tournée po Lubelskiem.*

...

*Dlatego też listę rzeczy najglówniejszych
Wywiesza się do wiadomości w lokalu tutejszym.*

...

*Obuwie – rzecz prawie najważniejsza w drodze,
byle jakim butem nie dogodzisz nodze.*

...

*Z odzieży nie będę wymieniał szczegółów
Przy damskiej bieliźnie miałbym moc skrupułów.*

...

Więcej nic nie powiem, morały skończone.

Róbcie jak chcecie, jedno wam przypomnę:

Wziąć wam wolno tyle bagażu swojego,

Ile ci brakuje od ciężaru twego

do stu kilogramów – więcej ani gram,

za co odpowiadam – z poważaniem Jan.

Repertuar na wyprawę składał się z czterech obrazów historycznych, mówiących o poświęceniu dla ojczyzny: „Wanda” Norwida w opracowaniu D. Nagórnej, „Bolesław Chrobry” Gołubiewa, sceny wybrała Z. Kitówna, „Insurekcja” Reymonta w adaptacji W. Gołkiewicza i „Obraz z Powstania Warszawskiego” także Gołkiewicza. W lutym kupiliśmy wóz konny z demobilu „Łączności” za pięćset złotych. Tanio, bo tanio, ale okazało się, że to

przerdzewiały gruchot i dostarczenie tego sypiącego się grata do warsztatu odległego o 40 km nastęczało wielu trudności, wydawało się nie do pokonania. Woźnicę z koniem wynajęliśmy za 150 złotych dziennie. Koń nie tylko przewoził bagaże, ale podczas pobytu „Latarni” we wsi nosił wierzchem herolda, reklamującego przybycie teatru. Aktor zapraszał na przedstawienie ludzi w ich domach i przy pracy w polu. Pojazd okazał się o wiele za mały, aby pomieścić osobiste rzeczy czternastu osób, ponadto kostiumy i rekwizyty. Upychanie bagaży odbywało się przy tłumie przygodnych gapiów, znajomych, przyjaciół, wśród których był Ireneusz Opacki¹³, który z tej racji napisał wiersz:

*Resory skrzypią, chwieje się buda,
Świat się przechyla, na bakier,
Nuż Gałczyńskiemu zmienić się uda
Ten grat w zaczarowany fiakier?
Przyczep więc, bracie, swego pegaza
Gdzieś do przedniego resora:
Zaczarowana dorożka
Zaczarowana „Latarnia”
Z obrazka Nikifora.*

Nie jechaliśmy z gołymi rękami – przygotowaliśmy 500 egzemplarzy programów. Mała książeczka – bo tak ją nazywali mieszkańcy roztoczańskich wsi – zawierała repertuar oraz nasz milenijny apel. Oto oryginalny tekst:

Milenium to jest tysiąclecie istnienia Państwa Polskiego. W związku z tą zaszczytną dla naszego narodu rocznicą, każdy Polak powinien zrozumieć, że dolożenie swojej cegielki do dalszej budowy Państwa Polskiego jest kwestią jego honoru i narodowej dumy.

W każdym zakątku polskiej ziemi, w każdej wsi i w każdym mieście może wyrosnąć tysiąc drobnych ulepszeń i inwestycji, może dokonać się tysiąc cennych napraw dla wygody mieszkańców, może powstać i urzeczywistnić się tysiąc szlachetnych pomysłów dla podniesienia piękna środowiska i jego kultury.

¹³ Prof. dr hab. Ireneusz Opacki – historyk i teoretyk literatury, wieloletni pracownik naukowy KUL, obecnie wykładowca na Uniwersytecie Śląskim.

To wszystko może się dokonać wysiłkiem osobistym każdego Polaka, któremu droga jest polska ziemia i droga myśl, aby tysiącletnie państwo rozwijało się, bogaciło i potężniało wewnątrz.

*Nie zmusza Cię do tego żaden nakaz, ani nikt, poza Tobą nie będzie pilnował, czy ten zaszczytny czyn będzie wykonany. Pragniemy tylko, Obywatelu, przypomnieć Ci, co mógłbyś uczynić dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego. Dla uczczenia „Milenium”:
możesz – zaproponować gromadzie wspólną naprawę: kładek, mostów, dróg, grobli, remont świetlicy i szkoły,
możesz – ułożyć chodnik i zasadzić drzewa nie tylko koło swojego domu, ale także na nieużytkach (japońskie przysłowie mówi, że „nie żył ten, kto nie posadził w życiu swym ani jednego drzewa”),
możesz – naprawić płoty, wspólne studnie, oświetlić podwórko, założyć ogródek kwiatowy,
możesz w domu swoim wprowadzić zwyczaj wspólnego czytania wartościowych książek i czasopism,
możesz – zainicjować zorganizowanie zespołu teatralnego, zespołu żywego słowa, samokształceniowego i sportowego.*

Zresztą jest jeszcze tyle rzeczy do zrobienia, że nie sposób ich tu wymieniść. Jesteśmy przekonani, że sami najlepiej wiecie, co jest jeszcze do zrobienia i pewnie bez naszych rad już wiele zrobiliście.

Dziękujemy

Zespół „Latarnia”

W wyprawie uczestniczyli: Anna Krzywicka, Barbara Krzywicka, Barbara Koterwas, Hanna Kotarska, Marta Magierska, Maria Nowak, Władysław Gołkiewicz, Jan Magierski, Zbigniew Jóźwik, Zbigniew Kruk, Waclaw Kurowski, Krzysztof Szelażewicz, woźnica i jego pomocnik. Wyruszyliśmy 4 lipca 1959 roku w dobrych humorach. Pierwszy etap – Las Zemborzycki. Namioty rozbijaliśmy przy świetle księżycy. Świtem obudziły nas krzyki i szamotanie się woźnicy ze spłoszonym koniem. Rumak tratując garnki i tobołki pędził przed siebie, zaczepił o drzewo; rżał, prychał, ale pozwolił właścicielowi oprowadzać się w kółko i gdy zdawało się, że jest ugłaskany, wyrwał się powtórnie i pogalopował w las. Po raz trzeci udało się ubrać w zaprzęg zbuntowane zwierzę i gdy Jan chciał skrócić w lewo, uparciuch zdecydowanie poszedł w prawo. Janowi został w ręku złamany dyszel. Nie pomogły kostki cukru, ani pieszczoty Wacka. Gniady zdecydowanie nie chciał pracować dla teatru.

Tymczasem, jak w każdą niedzielę, do lasu napływała rzesza wycieczkowiczów. Ludno i gwarno. Sensacja. Wydziwianie. Mnóstwo pytań. Obserwujący nas ślusarz zaproponował bezinteresowną pomoc, drugi życzliwy nam człowiek pożyczył motocykl, na którym Zbyszek zawiózł właściciela warsztatu i pękniętą część. Za godzinę byli z powrotem. Przepchnęliśmy wóz dalej w krzaki, aby być z dala od natrętów. Przy takich manewrach zmurszały drąg łamie się raz drugi. Pech. Układają rzeczy w rozbitych namiotach. Ja idę na szosę, dosiadam się na furmankę rozwożącą lemoniadę. Podczas drogi gawędzimy z powożącym, on o handlu, ja – o sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Młodemu człowiekowi świta myśl włóczęgi. W Lublinie ułatwia mi kontakty: godzi innego woźnicę, wypożyczam dyszel i po uzgodnieniu z rodzicami lemoniadziarz jedzie z „Latarnią” w charakterze „pomocnika stajennego”.

Droga piękna, urozmaicona, teren falisty, pachnące lasy, ukwiecone miedze i dojrzewające zboża. Dodatkowej atrakcji dostarczał... szczaw. Koncentrat ten, przeze mnie spreparowany, nie wytrzymał telepania i z wielkim hukiem, wyzwalając się z zakorkowanych butelek, bryzgał dokoła zieloną papką. Nie ostatnia to moja porażka kulinarna. Wieźliśmy placki – pożywne, na smalcu i jajkach. Piekłam je na parę tygodni przed wyprawą. „Latarniowcy” nazywali je „słodkościami”. Wypieki moje nie miały powodzenia, były twarde – poza tym nie dodałam żadnych zapachów. Wyżywienie czternastu osób nie było łatwe. Zatrzymaliśmy się w Woli Gałęzowskiej. Na sklepie kartka: „Jestem w polu”. Na wsi udało mi się kupić kapustę i śmietanę. Ugotowałam. Jedli, nie grymasili. Po obiedzie usłyszałam rozmowę:

Zbyszek – Głodny jestem.

Jan – Jeszcze jest kapusta w śmietanie.

Zbyszek – Nie mam chęci.

Jan – Nie grymaś, bo będziesz jadł „słodkości”.

W drodze mieliśmy różne przygody. Słońce już zachodziło, gdy jakiś sympatyczny człowiek poinformował nas, że do Batorza jest pięć kilometrów. Ruszyliśmy rażno, po godzinie marszu powiedziano nam:

– Batorz już niedaleko, będzie z pięć kilometrów. Podobnie mówili następni napotkani ludzie. Po północy przyszliśmy wreszcie do młyna, który pracował pełną parą. Jeden z gospodarzy mielących zboże zaprosił nas do swojej stodoły. Nowy kłopot – Jan nie może znaleźć aparatu fotograficznego, którego szukają wszyscy, jakby to była igła. „Leiki” nie ma. Jan i Zbyszek idą szukać, wzięli latarnię, drżącym blaskiem oświetlającą koleiny naszego wozu, szersze niż ślady po kołach furmanek chłopskich. Już dniało, gdy zobaczyli

zgubę. W drodze powrotnej mijali ludzi, którzy pieszo i na rowerach właśnie tą drogą spieszyli do pracy. Długo komentowaliśmy, co to mogło być, gdyby na poszukiwanie zguby wyruszyli pięć minut później.

Do Bychawy przyszedliśmy ciemną nocą. Nigdzie światła. Noc ciepła. Postanowiliśmy nie rozbijać namiotów, zawsze przy tym jest hałas. Znalezienie jakiegoś placu bez uprawy nie było łatwe; wreszcie jest niska trawa, pewnie pastwisko. Owijamy się kocami i przy cykaniu koników polnych, usypiamy. Obudziła nas rozmowa:

– Patrzajcie! Cyganie. Że też się to nie zaziębi. – Ciekawska bezceremonialnie odkryła koc, spod którego wyjrzała blondwłosa głowa Hani. Baba krzyknęła:

– Nie, to nie Cyganie! – Jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy się dowiedzieli, że koczujemy na cmentarzu przykościelnym.

Mimo że wędrowali dorośli ludzie, zdarzały się niewybredne figle. W Bychawie, korzystając z gościny księdza, zrobiliśmy jednodniowy odpoczynek. Przy plebanii był mały sadek, a w nim alejka krzaków porzeczek, którymi duszpasterz częstował:

– Jedzcie, Bóg dał, że obrodziły.

Tak zwyczajnie zrywać, ogołacać księżulkowi ogród, to nieciekawie. Kładli się więc na ziemi na plecach i obrywali porzeczek, zasłonięci krzakiem od strony proboszczowych okien, Duchowny to zauważył i ubawiony pokazywał mi przyginane gałązki.

Innych wrażeń dostarczył spokojny i grzeczny lemoniادیarz. Siadłam na ławce w sadku, gdy podszedł do mnie i uprzejmie a nerwowo zapraszał, abym skorzystała z cienia pod jabłonią.

– Położyłem tam już koc – nalegał stajenny. – Będzie chłodno, niech pani przyjdzie.

W tym momencie poczułam gorąco idące od ziemi, nachyliłam się i zobaczyłam parujący kocher, odkryłam dekiel – dusił się poćwiartowany kurczak. Spojrzałam z wyrzutem na naszego Stasia.

– Sam się zabłąkał – tłumaczył trochę bezradnie.

– Nie żał ci było zabijać?

– Kogutek nie cierpiał. Szybko go załatwiłem.

Było to w Wólce Batorskiej. Sprzykrzyło się naszym amatorom powtarzać te same teksty każdego dnia. Postanowili pozamieniać się rolami w „Obrazie z Powstania Warszawskiego”. Przed spektaklem próba w nowej obsadzie. Dyskusja. Płócienna kurtyna nie tłumi głosów. Powoli zapełnia się widownia. Nasza gospodyni, u której mamy kredyt na mleko, już siedzi w pierwszym rzędzie. Po przedstawieniu trzeba zapłacić dług, bo raniutko maszerujemy dalej. Wchodzimy do właścicielki krowy.

– Dobry wieczór – kobieta siedzi zamyślona, nie odpowiada.
– Przyszliśmy zapłacić za mleko. Kobieta oburzyła się:
– Co mi tu mówicie o pieniądzach? Od kogo mam brać – od powstańców? Jakbym tam sama była to bym tak samo walczyła. Tłumaczyliśmy, że to są aktorzy, oni tylko odtwarzają scenę z powstania. Na to nasza rozmówczyni:

– Co ty mi tu będziesz głowę zawracał – przecież dobrze pamiętam, gdzie upadłeś i gdzie ci Hanka rękę bandażowała. Nie pomogły moje perswazje, że powstanie było piętnaście lat temu, a ci młodzi ludzie znają je z książek i opowiadań.

Były różne przygody, a wszędzie przyjmowano nas serdecznie. Szliśmy przez piękne, faliste Roztocze. Bez wysiłku pokonywaliśmy małe odległości między miejscowościami. Mijający nas rowerzyści byli doskonałymi nosicielami nowiny: „Teatr jedzie!”. Zdarzało się, że wyjeżdżała nam naprzeciw delegacja młodzieży z bukietami piwonii albo z ubranymi kolorową bibułą szprychami rowerów.

Oto nasza trasa: Zemborzyce, Prawiedniki, Polanówka, Żabia Wola, Bychawka, Zdrapy, Bychawa, Wola Duża, Gałęzów, Wola Gałęzowska, Majdan Starowiejski, Dębina, Annów, Stawce, Wola Batorska, Batorz, Zdziłowice, Błażek, Moczydło, Brzozówka i tu skończyła się nasza wyprawa wozem. Przerwał ją ulewny deszcz. Drogi tak rozmokły, że nasz wóz grzązł po osie w błocie. Zabraliśmy mokre plecaki, aby w razie wywrócenia pojazdu nie wylądowały w tłustej glinie. Rozstaliśmy się. Woźnica i jego pomocnik musieli przeczekać deszcz, by dostać się do bitej drogi. A „Latarnia” pomaszerowała do stacji kolejowej w Szastarce, skąd wróciliśmy do Lublina.

Teatr jednego widza

Przyjął się zwyczaj, że „latarniowcy” w dzień moich imienin przychodzili z improwizowanymi występami artystycznymi. Nazywali to teatrem jednego widza. Aby oddać atmosferę tej zabawy, przytoczę kilka zachowanych tekstów. Idąc po schodach śpiewali na melodię „Wojenko, wojenko”:

*Oj, pani Basieńko, co żeś ty za Pani,
że do ciebie idą, że do ciebie idą
chłopcy latarniani...*

A pod drzwiami mieszkania:

*To my; to my
Walimy do drzwi
Tu stoi Baś, tu stoi Jan
A za nimi cały klan.*

Potem lament na melodię modnej wówczas „Malagenii”:

*Pani Basia w kącie chlipie,
Bo „Latarnia” ledwo zipie.
Nie przychodzą jej członkowie,
Jakby byli z sobą w znowie.
Gdyby przyszli Jasio, Hanka
To byłaby już składanka.
Gdyby Baśka i Józwička
Pewnie byłaby publiczka.*

Nagle zmienili smętne kwilenie na rytmiczny marsz:

„Latarnio” ty byłeś naj, najlepsza w świecie...
„Latarnio” znali cię w bełżyckim powiecie... Oho!
„Latarnio” twój blask już dzisiaj zbladł
I nie wiadomo kto ci sławę skradł
niech wyjdzie ten drab co skradł.
Dawniej w prasie wciąż pisali
Cośmy gdzie narozrabiali
Dziś nie piszą – inne czasy
Może nie ma wcale prasy?

Innym razem wymyślili koronację:

*Proszę o ciszę. Staje się fakt
Koronacyjny akt!
Oto osoba dotąd nie koronowana
Choć od wielu lat Napoleonem zwana
Zasiądzie zaraz na królewskim tronie.
Więc dalej służba! Dać kadzidła wonie!
Zapalić światła! Muzyka marsza!
Niech świat się dowie, że głowa monarsza
Dziś koroną będzie ozdobiona.
Marszałkowie! – Panią Basię weźcie pod ramiona
Posadźcie na tronie.
A teraz na przezacne skronie
Włóżcie kapelusz trójkątny, to oznaka władzy
Odtąd wszyscy ubrani i nadzy
Słuchać jej będą – robiąc wielką łaskę.
Hej marszałkowie – włóżcie i przepaskę
To mądrości znak – tak
O rany! znów rymu brak.*

A następnie:

A ja ogłaszam zebrany przed tronem

*Odtąd pani Basia formalnie, normalnie,
Paradoksalnie, nie i moralnie
Zwać się będzie: Napoleonem.*

Kiedy indziej przygadywano mi:

*Proszę ja was wnet nauczę
Stu rolami objuczę
I Wyspiański i Tagore
Światło wiedzy niech nam gore
I Mickiewicz będzie przecie
Potem damy Tysiąclecie
I Szaniawski, trochę Mrożka
Indii zrobim także troszka
Nie wymknie mi się nikt.*

Bądź lamentowano:

*Jaśniutka „Latarnio” niedługoś błyszczala,
Bo ci się twa kadra szybko zestarzała.*

Upływa trzydziesty rok od powstania „Latarni”, która mocno związała całą naszą teatralną grupę. Mieliśmy wszyscy świadomość, że służymy polskiej kulturze po wielkim jej zniszczeniu podczas okupacji. I chociaż, jak mówi piosenka, że się kadra „Latarni” szybko zestarzała, nie zestarzały się węzły przyjaźni i gwardia małego Napoleona ciągle o sobie daje mi znać.

„Mała Latarnia” (1960–1971)

Różnymi drogami dochodziło do tworzenia zespołów teatralnych. „Mała Latarnia” zaczęła się od popołudniowych wycieczek za miasto, na które zabierałam dzieci z naszej dzielnicy Lubartowskiej. Na te wypadki zgłaszało się różne towarzystwo – dobrze wychowani i niewychowani. Nie mogłam ustalić składu osób, przemierzali się jak rozsypane paciorki. Zabierałam ze sobą lornetkę – przyglądali się chmurom, bawiliśmy się rozpoznawaniem drzew na odległość. Lubili także patrzeć przez lupę na własną skórę, nóżki motyli, pręciki kwiatów. Ten nowo odkryty świat zastanawiał ich i zadziwiał precyzją kształtów. Mnie także ich wypowiedzi dawały dużo do myślenia. Chłopcu, który dokuczał małym idącym na próbę, powiedziałam:

- Jak chcesz, możesz należeć do „Latarni”, przestań palić i pić.
- Pić to ja nie będę, bo mi wódka nie służy, ale fajki palę już pięć lat (miał jedenaście).

Pewnego razu stoimy na przystanku, żeby zdążyć przed nocą do Lublina (1960 rok). „Latarniowcy” siedli zmęczeni, gwarzą między sobą, co by było, gdyby autobus nie przyjechał i musieliby iść do domu na piechotę, co mogłoby potrwać do północy. Na to jeden z chłopców:

- Na mnie nikt nie czeka, jakbym i całą noc nie przyszedł, to nie zauważą.
- A ja nie dostałbym kolacji, alem wytrzymała na głód – powiedział inny.

Jedenastoletnia dziewczynka, pierwszy raz w życiu zobaczyła kaczkę i przerażona uciekła. Takie to były dzieci. Z tej grupy wyłonił się zespół, w którym były dwie dziewczynki i dziewięciu chłopców. Dla nich Władysław Gołkiewicz napisał widowisko pod tytułem „My jej szukamy”, oparte na przeżyciach chłopca, delegowanego przez kolegów do stolicy, ażeby odnalazł i przywiózł melodie Warszawy. Chłopiec zmęczony poszukiwaniami, przysiadł na stopniach starej kamienicy i zasypia. We śnie przewijają się postacie starej Warszawy, każda na zakończenie swojej kwestii zostawia chłopcu nutkę.

Na jednej z pierwszych wypraw „Małej Latarni” na Roztocze, z widowiskiem „My jej szukamy”, przed Zdziłowicami ulewa. Zanim doszliśmy do wsi, nie było na nas suchej nitki. Remiza OSP stoi na płaskowzgórzu, dookoła, jak fosa w starych zamczyskach, otaczała ją woda. Czuliśmy się jak na wyspie. Pomiędzy suszącą się garderobą grali w kucanego berka,

aby się rozgrzać. Troskliwi zdziłowiczanie brodząc po kolana w wodzie przynosili gorące mleko, herbatę, pierogi. Mimo wody i błota widzowie napływali. Ludzie wszędzie bardzo gościnni. W Otroczcu (lipiec 1970) kierownik szkoły Paweł Sulowski i jego żona wyjeżdżając na dwudniową kursokonferencję zostawili nam klucze od mieszkania i ogrodu.

– Rządźcie się jak u siebie w domu.

Pan Sulowski sam urządzał teatry amatorskie, a za uzyskane fundusze wybudowali szkołę i remizę straży ze sceną, z której korzystaliśmy.

W Pilaszkowicach w sklepie nie dostaliśmy pieczywa. Pani Wanda Świetlicka upiekła bochen wyśmienitego chleba. W Pilaszkowicach II pan Kazimierz Dzirba, u którego nocowaliśmy, zaprosił nas:

– Zostańcie, u nas jest świetlica, ludzie przyjdą. Tak jak Dzirba was ugości, nikt inny nie potrafi.

Zostaliśmy. Gospodarz zaprzęgnął konia do wozu i wywiózł zespół do lasu odległego o osiem kilometrów. Zostałam z gospodynią, żeby „jedzenie po miejsku przyprawić”.

Następny przykład gościnności (lipiec 1963). Zatrzymaliśmy się w Ignatówce u pani Pauliny Jurczak. Mieszkała sama w willi – zamczysku z wieżą, z której okien roztaczał się bajkowy widok na wierzchołki sosen i rozgwieżdżone niebo. Tam zamieszkaliśmy. Zostaliśmy u babci (pani Paulina poprosiła, by ją tak nazywać), goszczeni po królewsku przez osiem dni. Babcia przyrządzała wyśmienite potrawy: wypiekała mięsa, kurczaki, desery i miała wiele nadziei, że zostaniemy do końca wakacji. Niestety, mój urlop kończył się i musieliśmy wracać. Przy rozstaniu babcia lamentowała:

– Nie zostawiajcie mnie, sieroty. Na schodach z piękną balustradą daliśmy przedstawienie „My jej szukamy” tylko dla babci. Płakała. Na pożegnanie zaśpiewaliśmy piosenkę, którą napisał i podarował nam na drogę Władysław Gołkiewicz:

*Ze szczęściem jestem za pan brat
Z piosenką idę poprzez świat
Przez góry, lasy, pola, knieje
Idę przez słońce, przez zawieje
I szukam ludzi, którym trzeba
Mówić, że piękny błękit nieba,
Że niedźwiedź siedzi w ciemnym borze,
A lis w głębokiej mrocznej norze.
A kiedy słońce pięknie świeci*

*do lasu biegną wszystkie dzieci,
bo w lesie mieszka moc krasnali
jedni wysocy, drudzy mali.
I siedzą sobie pod grzybami,
jedzą miód pszczeli z poziomkami,
a każdy krasnal tęgi chwyt
ze szczęściem za pan brat.*

Odwiedzałam babcię parę razy, wypytywała o wszystkie dzieci. Podczas ostatniej wizyty w Ignatówce nie zastałam gospodyni: Paulina Jurczak oddała swój dom zakonnicom. Na pierwszym piętrze jest kaplica, a w pozostałych pokojach mają cele siostry zakonne, a babcia jest w domu starców w Głuszczyźnie koło Janowa Lubelskiego.

Na trzynastu choinkach noworocznych, urządzanych przez Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie dla zakładów pracy, wystawialiśmy „Baśń o szlachetnym Gotfrydzie”. W nagrodę dostaliśmy młodzieżowy rower. Zawrzało. Przetargi – przez kogo i jak długo będzie używany. Zabrałam pojazd, powiesiłam na ścianie, powiedziałam:

– Niech czeka, aż będą rowery dla wszystkich. Starzy „latarniowcy”, dla swoich następców – „Małej Latarni”, przeznaczyli swoją nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki osiem tysięcy złotych (1964), na kupno ośmiu rowerów „popularnych”. Za własne pieniądze z przedstawień na wsiach kupiliśmy jeden, ja mam własną damkę, a jednego wciąż brak! O przedstawieniach na wsiach przy końcu roku szkolnego nie ma mowy – są dwójkowi. I oto z Wojewódzkiego Domu Kultury dostajemy piękny rower, małą damkę. Śpiewamy naszym ofiarodawcom „Ze szczęściem za pan brat” i żyjemy przygotowaniami do wędrówki nad morze.

Wyprawa nad Bałtyk trwa od 2 lipca do 8 sierpnia 1964 roku. Uczestniczyły w niej dwie dziewczynki i dziewięciu chłopców, dzieci jedenasto-, dwunastoletnie, tylko mój zastępca miał piętnaście lat. Troje jechało na „młodzieżówkach”, „popularnym” nie dostawali do pedałów. Lubiliśmy jechać o wschodzie słońca, wtedy chłodno i mały ruch na drogach. Trasa z Lublina przez Nałęczów, Puławy, Radom, Piotrków Trybunalski, Koło, Kruszwicę, Inowrocław, Toruń, Świecie, Gdańsk. Dojechaliliśmy nad Bałtyk 21 lipca. Radość. Zwiedzanie. Kąpiel w morzu. Wypad do Oliwy i powrót przez Malbork, Ostródę, Nidzicę. W Wielbarku skropił nas deszcz i zaskoczyła noc. Postanowiliśmy spędzić ją w pociągu. Z Wielbarku przez Ostrołękę do Siedlec dojechaliliśmy śpiąc na ławkach. Po 38 dniach

wróciliśmy do Lublina jadąc na rowerach przez Łuków, Radzyń, Lubartów. Daliśmy 35 spektakli „My jej szukamy” W. Gołkiewicza, w tym 15 w plenerze.

Wyprawa nad morze obfitowała w sytuacje, które czasem wydawały się bez wyjścia, np. gdy dojeżdżaliśmy do Nidzicy spotkał nas ulewny deszcz. W pobliżu nie było zabudowań. Jechaliśmy rozbryzgując wachlarze wody. W Nidzicy na ulicach nie ma żywej duszy. Napis: „Internat”. Weszliśmy do dużego holu, znacząc strugami wody wejście. Internat nieczynny – wakacje, ale są panie sprząające kuchnię, bo od dziesiątego mają tu zamieszkać jacyś kursowicze. Z głośnika coraz nadają wiadomości, że 7 sierpnia zmarł generał Zawadzki – przewodniczący Rady Państwa. Ogłoszono trzydniową żałobę. Jesteśmy głodni, bez pieniędzy. Kłopot. Różne myśli... Może zgłosić się do Ligi Kobiet albo do milicji, a tymczasem ulewa nie ustaje. Aby się czymś zająć, śpiewamy. Cztery panie z kuchni są zachwycone.

– Co to za zdolne dzieci.

W holu dajemy cały spektakl. Panie proponują zostanie na noc, gotują „co było w spiżarni”, a było niemało. Na drugi dzień wyspani, wysuszeni, przygotowani do drogi dziękujemy za gościnę naszą piosenką, gdy ktoś zasłonił mi oczy.

– Zgadnij, kto cię trzyma.

Był to Waldemar Kisielewski; były „latarniowiec”, po studiach przyjechał na Mazury i uczy właśnie w tej szkole. Zaintrygował go śpiew kwiaciarki – piosenkę znał z Lublina. Opowiedziałam o kłopotach. Pożyczył tysiąc złotych. Pojechaliśmy.

Chłopcy przytracali plecaki po obu stronach bagażnika – z jednej rzeczy osobiste, z drugiej sprzęt teatralny. Dziewczeta wiozły tylko własne rzeczy. Przyczyną sprzeczek był nasz dziesięciolitrowy garnek. Pod Lubartowem trzej bracia zbuntowali się, nie chcieli wieźć garnka, a była ich kolej. Trwały targi, wypominania, wreszcie pojechaliśmy. W Ciecierzynie okazało się, że wprawdzie garnek jest, ale bracia zgubili dwa plecaki ze strojami. Zdaje się, że chcieli rozbić zespół. Nie udało się. To raczej scementowało młodzież. Nowe stroje uszyliśmy na wyrost, na wyprawie urosli, przybyło im na wadze. Jeden z chłopców pobił rekord – przytył siedem kilogramów, inni od czterech wzwyż.

Z dziecięcego zespołu wyrosła grupa zapalonych amatorów sceny. Z przedstawieniami jeździliśmy do szkół, domów kultury, sierocińców, domów starców itp. – wszędzie mile przyjmowani. W czerwcu 1969 roku Powiatowy Dom Kultury w Bychawie zorganizował zjazd 25-latków, rówieśników Polskiej Ludowej. Na tej imprezie teatr „Latarnia” wystawił „Drogę” Gołkiewicza. Spektakl podobał się – owacje, kwiaty. Zaproszono nas do stołu. Skróciłam biesiadowanie, lepiej odjechać wcześniej, jest nas dziesięcioro, mogą być

kłopoty z miejscami. Pierwszym samochodem pojechali dwaj chłopcy z plecakami wypchanymi strojami i składaną dekoracją. Próżno czekaliśmy – drugi autobus nie przyjechał. Dom Kultury zamknięty. Pusto. Noc chłodna. Postanowiliśmy iść. Może jakaś okazja. Droga prosta, kierunek północ. Maszerujemy. Nie zgadzam się na odpoczynek. Po przejściu około 15 kilometrów, tuż za wsią Bychawka, słyhać bęben – echo myli kierunek. Zauważyliśmy światło, to zabudowania gospodarcze. Na środku podwórza stały stoły uginające się od jadła. Zwróciłam się do starościny:

– Idziemy do Lublina, autobus nas nie zabrał, jesteście głodni.

Kobieta wyniosła osiem ogromnych porcji mięsa z chlebem, dzbanek kompotu.

– Zjadajcie wszystko – zachęcała nasza dobrodziejka – i na drogę coś się znajdzie – i podała mi do podziału struclę z makiem. Najedzeni nie narzekali na zimno, do marszu zachęcałam różnymi przykładami o żołnierzach, sportowcach, wyrabianiu silnej woli itp. Wiedziałam, że jak siądą, nie będę mogła ich poderwać. Wróciliśmy około szóstej rano po przebyciu 32 kilometrów.

Repertuar „Małej Latarni”: „Smocza awantura” – Januszewskiej, „Dziewczynka z zapalkami” – w opracowaniu Tuwima, „Dobroć” – Sienkiewicza, „Baśń o szlachetnym Godfrydzie”, „Droga” i „My jej szukamy” – Gołkiewicza, „Nim kurtyna pójdzie w górę” – układ własny, „Niezwykła przygoda” – Odrowąża.

„Semaforek” – wędrówka I (1960)

Polonistka Technikum Kolejowego dr Zenobia Kitówna, nieoceniona w doborze tekstów na konkursy czytelnicze, wystawy i inne imprezy urządzone przez „Latarnię”, tym razem chciała przygotować recytacje z uczniami swojej klasy. Zgłosiłam swoją gotowość pomocy. Z wybranych przez nauczycielkę tekstów, Danusia Nagórna opracowała ciekawy scenariusz, w którym dla podkreślenia słowa, wykonanie wymagało gry całym ciałem aktora. Był to przekrój przez bajkę polską od Kadłubka do Gałczyńskiego pt. „Bajki i prabajki nie tylko dla dzieci”. Taki miał początek w 1960 roku teatr przy Technikum Kolejowym „Semaforek”.

Próby odbywały się w szkole, a szycie i farbowanie u mnie w domu. Stroje do „Bajek” to trykoty i króciutkie, czarne tuniki. Kolorowe emblematy umożliwiały rozpoznanie postaci. Na przykład głowa gęsi na długiej białej szyi włożona jak rękawiczka, sięgała do ramienia. Kostium liszki, to czapeczka z lisimi uszami i przyszyta do czapki długa kita – aktorka grała nią jak szalem. Ogon pawia było to właściwie bardzo barwne skrzydło umocowane na stopie jak strzemień, zaczynało się ono wielkim okiem, następnie oka stopniowo malały, najmniejsze nałożone na rękę jak bransoleta. Efektowne ruchy „ogonami” przy dowcipnej sprzeczce pawi, wywoływały brawa.

W zorganizowanym w 1961 roku przez Lubelski Dom Kultury konkursie na kostium dla teatru amatorskiego, „Semaforek” zdobył drugą nagrodę. Praca z „Semaforekiem” sprawiła mi wiele radości. Pojętni, pogodni, pomysłowi i pracowici. Toteż jak grom z jasnego nieba uderzyła wiadomość: pięciu aktorów ma szesnaście dwój! Oznajmiłam chłopcom – w wakacje na wędrówkę nie pojedziemy.

– Poprawimy stopnie – obiecali. O pomoc poprosiłam studentkę Alicję Sochal, „latarniankę”, dziewczynę cierpliwą, o zdolnościach pedagogicznych. Po dwóch miesiącach zlikwidowali dwójki. Mogliśmy przystąpić do przerwanych prób. Z szóstym chłopcem z „Semaforeka” był większy kłopot. Dostał złą ocenę, uważał się za skrzywdzonego. Rozrabiał. Kazano mu przyjść do szkoły z ojcem. Słowik, bo tak go nazywali, do domu nie przyszedł i w szkole też się nie zjawił. Matka w rozpacz, ojciec pojechał szukać synka do rodziny. Bez skutku. Przez trzy dni chłopca nikt nie widział. Niepokój wzrastał. Komentarze.

Zwróciłam się do „elity” rozrabiaków i nierobów, zebranych jak zawsze przed kinem „Przyjaźń”.

- Panowie, pomóżcie mi znaleźć Słowika.
- Nie znamy żadnego Słowika.
- Znacie, bo to chłopak z waszej dzielnicy. Tylko wy możecie go zawiadomić.
- Co się stało? O kogo chodzi?
- O Słowika, aktora amatorskiego teatru przy Technikum Kolejowym. Dajemy

przedstawienie i...

- Kiedy? – przerwał moje lamentey jeden z „panów”.
- Jutro. Nikogo już nie zdążę nauczyć... i nikt nie zagra jak on.

Spojrzeni spode łba i rozeszli się. Przygnębiona wolno wracałam do domu. Pod drzwiami mojego mieszkania czekał Słowik.

- Do szkoły mogę iść, ale do domu nie wrócę – powiedział na wstępie.
- Zgoda, będziesz u mnie. Zaraz urządzimy kącik do nauki i spania.

Został. Był mile zaskoczony kluczem do mieszkania. Dałam znać rodzicom: „Zguba mieszka u mnie, jestem przekonana, że przemyśli, zatęskni i wróci sam do domu”. I rzeczywiście, po piętnastu dniach zastałam na stole klucz od zatrasku i kartkę: „Dziękuję – Słowik”.

W lipcu 1961 roku wyruszyliśmy na wędrowkę jedna dziewczyna i sześciu chłopców – polnymi drogami przez Szerokie, Uniszowice, Płuszowice, Józefin, Tomaszowice, Miłocin, Cynków, Nałęczów, Łąki Małe, Zarzekę, Mareczki, Wąwolnicę, Bartłomiejowice, Zawadę, Karmanowice, Celejów, Wierzchoniów i Kazimierz; tu dołączył do nas „podgrodzianin” Krzysztof Achremowicz. Podziwialiśmy piękno Kazimierza, Achremowicz objaśniał style, znał mnóstwo dykteryjek, mimo przelotnych deszczów humory świetne. Popłynęliśmy statkiem do Puław, o których Krzyś mówił dużo i barwnie, zapewniał, że są najpiękniejsze.

- Kazimierz przecież najpiękniejszy – droczyli się chłopcy. Na to odpowiadał:
- Nie przeszkadzajcie, o Kazimierzu już mówiłem. Z powrotem przez Górę Puławską, Trzcianki, Oblasy, ruiny zamku w Janowcu, wielką łodzią przepłynęliśmy Wisłą do Kazimierza, skąd wróciliśmy do Lublina autobusem. W mijanych wsiach dawaliśmy przedstawienia w świetlicach, na koloniach, w plenerze. Przygód mnóstwo, a zawsze umieli się dostosować do sytuacji. Na przykład w Nałęczowie. Szukaliśmy miejsca na rozbiecie namiotów. Padał deszcz, zrobiło się ciemno, wszędzie mokro i płoty. Przy tym wzbudzaliśmy

zainteresowanie miejscowej młodzieży, która nawołując się gwizdaniem dołączała do nas. Deszczyk kropił bez przerwy. W uliczce zobaczyłam duży oświetlony budynek.

– To szkoła – poinformowali miejscowi.

– Tak, wiem. Na nas czekają. Do widzenia.

Udał się fortel. Drzwi szkoły zamknięte. Nie pomagało stukanie. Stanęliśmy przytuleni do muru, aby więcej nie moknąć. Ktoś otworzył drzwi, wyszedł i zniknął w ciemnościach. Wsunęłam się przez niedomknięte drzwi. Wielki hol. Pusto. Gestem przywołałam swoich. Cisza. Usiedli na ustawionych rzędem plecakach. Ktoś nadchodził.

– Śpijcie i ani mru-mru! – to kierownik.

– Proszę w tej chwili wyprowadzić ich stąd – nakazał.

– Deszcz pada – poinformowałam.

– To mnie nie interesuje.

– Proszę pana, jest noc, są przemoknięci, mogą się przeziębic.

– Co to za banda?

– To „Semaforek”, teatr przy Technikum Kolejowym w Lublinie.

– Proszę pani, mam dzisiaj zakończenie kursu dla nauczycieli, zresztą nie będę się tłumaczył... I otworzył szeroko drzwi, którymi weszliśmy. Zamknęłam je i spokojnie objaśniłam:

– Przeciąg, są zmęczeni – mogą zachorować.

Po namyśle otworzył drzwi do sali gimnastycznej. Dziękujemy i zapraszamy na przedstawienie dla uświetnienia zakończenia kursu dla nauczycieli. W programie była poezja hinduska „Nie tylko uszami słuchajcie” i sztuka R. Tagore pt. „Poczta”. Nauczyciele uważnie śledzili widowisko, często nagradzali je oklaskami. Po przedstawieniu pochwały i niekończące się pytania dotyczące naszej pracy, szczególnie pracy nad słowem. Obdarowano nas kwiatami, słodyczami, nawet książkami, które nauczyciele dostali na zakończenie kursu. Po owacjach, dyskusjach, około godziny pierwszej w nocy zaproszono nas do jadalni. Towarzyszyli nam widzowie. Przy stole aż cztery mowy! „Dobrana młodzież”, „To najlepsza lekcja pogładowa”, że też pan kierownik tak się „zakonspirował”... a my siedzieliśmy przy zastawionym stole – podczas przemówień nie wypadało jeść, trzeba odczekać – co za męka! Kierownik biegał, zapraszał, znosił coraz coś nowego stawiał na stół. Wstawał dzień. Nauczyciele byli z nami cały czas trwania kolacji, po której jeszcze jedna przemowa na dobranoc. Prysznic. Znalazły się świeżutkie białe łóżka.

– Piękny jest świat – zauważyła Hanka.

– Odkryła Amerykę! Śmiech.

– Cisza – śpijcie.

„Semaforek” – wędrownka II (1962)

2 lipca 1962 roku wyruszyłam na kolejną wędrownkę z „Semaforekiem” w składzie: Anna Szydłowska, Jerzy Wójcik, Andrzej Redkowiak, Antoni Mizeracki, Janusz Sobczak – wszyscy z Technikum Kolejowego, Tadeusz Sidorowicz, uczeń Technikum Budowlanego, a z zespołu „Podgrodzie” – Krzysztof Achremowicz, dobry piechur i gawędziarz; razem osiem osób.

Ubrani byliśmy w jednakowe dresy wypożyczone z szatni Wojewódzkiego Domu Kultury. „Bławatkowa wycieczka” – mówiono o nas. W plecakach, oprócz rzeczy osobistych, starannie złożone stroje do sztuki Rabindranatha Tagore „Poczta”, poezji hinduskiej w układzie Danuty Nagórnej pt. „Nie tylko uszami słuchajcie” i montażu poetyckiego bajek Ezopowych w przekładach autorów polskich pt. „Bajki i prabajki nie tylko dla dzieci”. Na kolorowych płótnach, przykrywających plecaki, wypisane hasła pomysłu Gołkiewicza – „Nie każdego na to stać, by nie mówić ciągle... mać!”, „Kłódkę zawieś u bramy, przyjdź tu do nas – czekamy!”, „Naśladownictwo wskazane”, „Mowa jest skarbem narodu”, „Wędrowny teatr z Lublina”, „Nie tylko uszami słuchajcie”, „Przyprowadź swojego sąsiada”. Jedyłą dekorację – składane okno – nieśli na zmianę.

Nastrój znakomity. Trasa wędrownki nie była zaplanowana. Po prostu wyruszyliśmy w Polskę: pieszo i autostopem po przygodę tam, dokąd jechał samochód, którego kierowca chciał nas przewieźć nie licząc na zysk. Struża koło Kraśnika to urocza wieś, wszędzie malwy w rozmaitych kolorach i tonach, wijąca się płyciutka rzeczka, Wyżnica, w której brodziliśmy; gościnność całej wsi. Zatrzymaliśmy się na dwa dni w domu pani Świąder, która otworzyła nam swoje serce i... spiżarnię. Podczas naszego pobytu nie odstawiała mleka do mleczarni, najroślejsze kogutki oddały życie, w bród było porzeczek, malin, wyjątkowo słodkich czereśni. Wszystko dla nas; serdecznie, radośnie, bezinteresownie.

Kierownik szkoły – pomnika Tysiąclecia, zacny pan Żaba, zajął się organizacją przedstawienia. Ogłosił konkurs na afisz zapowiadający nasz występ w Struży. Znalazły się kredki, farby, kartony. Wyróżniona praca została wystawiona za szybą w kiosku „Ruchu”. W korytarzu szkoły urządzono salę teatralną. Scena zrobiona z desek ułożonych na kozłach, na widowni ławy. Wszystkie miejsca siedzące. Luksus! Była nawet kurtyna, chociaż nasze przedstawienie nie wymagało zasłon, korzystaliśmy z niej, żeby zrobić przyjemność panu

kierownikowi. Ze Struży udaliśmy się w stronę Janowca Lubelskiego. Po paru kilometrach marszu kierowca mijającego nas samochodu zatrzymał się i zapytał:

– A dokąd to bławatkowi?

– Tam, dokąd pan jedzie mówimy. I pojechaliśmy z panem Mieczysławem Doleckim do Annapola, na kolonie letnie dzieci pracowników Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Ogólnego. Radość z naszego przyjazdu ogromna. „Przyjechał teatr!” – wykrzykiwały dzieci. Daliśmy przedstawienie w pięknej sali ze sceną, dla kolonii i drugi raz dla ludności Annapola. Jeszcze tego samego dnia (6 lipca) pan Stanisław Konopka zawiózł nas do Zaklikowa na kolonie letnie Wojskowych Zakładów Graficznych w Warszawie. Zagraliśmy „Bajki”. Podobaliśmy się.

Poruszając się ruchem konika szachowego, dzięki uprzejmości pana Alojzego Czekańskiego znaleźliśmy się w zabytkowym Sandomierzu. Ciemno. Kłopot z noclegiem. W PTTK zajęte. W liceum znaleźliśmy kolonię Fabryki Samochodów Ciężarowych w Starachowicach. Po długich pertraktacjach udzielono nam dachu nad głową w jednej klasie. Uprzednio zabrano nam dokumenty osobiste, zezwolenie Wojewódzkiego Wydziału Kultury na wędrownkę, teksty z pieczęciami cenzora i tym podobne „ważności”. Dzieciom nie pozwolono z nami rozmawiać. Nie mogłam przekonać kierownika o pożyteczności naszego działania. Wreszcie odbyło się przedstawienie. Graliśmy wszystko, co przygotowaliśmy na wędrownkę. Dramat, teatr poezji, kabaret. Każde z tych trzech widowisk miało inny charakter, tempo, klimat, poruszało inne problemy. Każde z krótkim wstępem, aby przekazywane treści były łatwiejsze w odbiorze.

Po występach nastrój się zmienił. Pan kierownik przeproszał i zatrzymywał nas. Znalazły się wolne łóżka. Panie kucharki upiekły doskonały placek na naszą cześć. Zostaliśmy. Zwiedziliśmy muzeum w Sandomierzu, piękne zabytkowe kościoły, dziedziniec zamkowy i płynęliśmy „Światowidem” po Wiśle. Pasażerowie i kapitan statku zainteresowali się „Semaforem”, a że był to ostatni tego dnia rejs, kapitan W. Szewczyk zatrzymał maszyny na środku Wisły, a my na pokładzie pokazaliśmy nasze „Bajki”. Owacje i brawa. Dla mnie gratulacje: „Jaka ta młodzież wspaniała”. Ogromną furorę robiły stroje do „Bajek”, z którymi aktorzy nie rozstawali się. I tak zakończył się nasz pobyt w Sandomierzu.

Pan Eugeniusz Rękas namawiał:

– Pojedźcie ze mną do Sokolnik, u nas jest stary park – zobaczycie piękne, potężne drzewa, jakich niewiele rośnie w Polsce.

Pojechaliśmy. Na tle wspaniałej scenerii wielkich drzew, w blasku zachodzącego słońca graliśmy „Bajki”. Aktorzy wykorzystując nową sytuację, grali między ogromnymi

pniami, bawiąc się świetnie. Po wyjątkowo udanym przedstawieniu pan Rękas odwiózł nas do Tarnobrzega. Właśnie szukaliśmy miejsca na rozłożenie obozu, gdy pan Stanisław Arkiewicz zaprosił nas na swój obszerny drabiniasty wóz i zawiózł do Chmielowa. Jazda końmi sześć kilometrów! Śpiewaliśmy cały czas. Ludzie wychodzili z chat, pytali: „Czyje to wesele?”. Graliśmy cały repertuar. Wieczorem ognisko, piosenki partyzanckie i spanie w stodole na sianie. Do dziesiątej rano! Dalej piechotą, między zbożem, pięknymi drogami doszliśmy do Woli Tarnowskiej, gdzie pani Anna Białas zaprosiła „bławatkowych komediantów” na zacierczkę. Skorzystaliśmy. Wieczorem terenem popisów była szkoła podstawowa.

9 lipca Wojciech Drozd ze Stalowej Woli dowiózł nas do Rzeszowa, gdzie w Wojewódzkiej Radzie Narodowej długo załatwialiśmy pozwolenia na przebywanie w Rzeszowskiem. Nie uznawano naszego zezwolenia z WRN w Lublinie na organizowanie imprez, ani cenzury tekstów – „Po co wędrować?”, „Kto za to płaci?”.

Po paru godzinach dostaliśmy pozwolenie na przebywanie na tym terenie tylko od 9 do 15 lipca i polecenie ustne: „Opuścić teren województwa rzeszowskiego jak najszybciej”. My także chcieliśmy jak najprędzej pożegnać Rzeszów. Pan Marian Jarosiński jakby czekał na nas. Sprzed Prezydium WRN pojechaliśmy do Łąncuta. Na koloniach PKP daliśmy przedstawienie; było serdecznie i szybko zapomnieliśmy o niegościnnym Rzeszowie. Zwiedzając wspaniały łańcucki park spotkaliśmy grupę polskich oficerów z generałem na czele. Zatrzymali się, chłopcy zrobili szpaler, pan generał uprzejmie przystanął, zapytał:

- Co to za niebieskie ptaszki?
- Teatr wędrowny.
- A co wy gracie?

W mgnieniu oka założyli emblematy, zagrali dowcipną bajkę Kadłubka o kłopotach mędrca i sprycie kobiety. Był to generał broni Kopijkowski.

– Serce rośnie – powiedział do swojej asysty. Wpisał się do kroniki, podając swój adres. Mówił: Może będziecie w Warszawie, to zajedźcie...

W Trzcianie powiat Rzeszów daliśmy „Pocztę” i „Bajki” w obejściu Michała Świętary, który nas tu przywiózł z Łąncuta, rozreklamował i ugościł. Z Trzciany doszliśmy do leśniczówki w Latoszynie koło Dębicy. Nocleg na pachnącym sianie i piękny las. Gościła nas pani Zofia Hanak. W Wólce Niedźwieckiej, dokąd przywiózł nas pan Stanisław Burek, na przedstawieniu było tylko 48 osób. Z panem Janem Drausem przez Nową Dębę dojechaliśmy do Tarnowa. Obejrzeliśmy rynek z ratuszem, gotycką katedrę i obok bardzo piękne domy. Na przedmieściu mijaliśmy kościółek drewniany, ale było za późno, aby go

zwiedzać. Nie mieliśmy jeszcze noclegu. Nocleg z 11 na 12 lipca znaleźliśmy w Zagłobicach koło Tarnowa. Rano „Bajki” dla licznej rodziny naszych gospodarzy, państwa Sabatów. Piękne Sądeckie przemierzaliśmy piechotą. Zwiedzanie, oglądanie, porównywanie, zachwyty, omawianie stylów przez Krzysztofa, wreszcie odpoczynek. Zdejmując plecaki zawsze ustawialiśmy je tak, by tworzyły koło napisami na zewnątrz. Ludzie czytali i każdy coś do nas sympatycznie zagadał. Właśnie dzięki napisom na naszych plecakowych fartuszkach kierowca żuka, którego nazwiska nie znam, zawiózł nas do Czorsztyna. Spływ przełomem Dunajca. Piękna tej wycieczki nie sposób opisać. Jest jak w baśni, jak w zaczarowanym kalejdoskopie, ciągle zmieniają się widoki, nie można nacieszyć oczu.

Z Krościenka do Krakowa zabrali nas żołnierze. Byliśmy w ostatniej grupie, zwiedzającej komnaty zamku wawelskiego. Nasza przewodniczka, pani doktor Kozderacka, z królewską godnością poruszała się po komnatkach, a przecież była szczupła i nieduża. Zdawało się, że to właśnie ona, tu na Wawelu, stale mieszka i oprowadza nas po swoim zamczysku. Z wielką miłością i prostotą mówiła o zabytkach, przytaczając fakty historyczne i dykteryjki, to recytując fragmenty wierszy dla podkreślenia wartości oglądanych dzieł sztuki, czy zapamiętania ważnego zdarzenia.

Zagadnęła nas skąd jesteśmy. Zaprezentowaliśmy jej „Bajki” w sali, którą za okupacji Frank zamienił na kino dla niemieckiej starszyszy. Przedstawieniu przyglądał się Jacek Sękowski, który jak mówił, na początek przyjaźni zaproponował nam spanie w Zakładzie Fizjologii Zwierząt. Skorzystaliśmy. Pan Jacek ugościł nas jajecznicą z 30 jaj na boczku wędzonym, zjedliśmy dwa chleby, potem herbata i spanie na podłodze. Pobudka o szóstej. Kąpiel w ciepłej wodzie. Rozkosz. Pan Jacek oprowadził nas po laboratorium i tłumaczył wagę analiz. Na pożegnanie piosenka „Ze szczęściem jestem za pan brat” i dalsze zwiedzanie Krakowa. W kościele Mariackim spotkaliśmy znajomego z Lublina, ojca Tomasza Roztworowskiego, kapelana oddziału w Powstaniu Warszawskim. Drugą noc spędziliśmy w Krakowie w PTTK. W powrotnej drodze do Lublina zwiedziliśmy kopalnię soli w Wieliczce.

W Bochni na półkoloniach „Bajki” i nocleg. Wracaliśmy wybierając najkrótszą drogę. Noc zaskoczyła nas w Zaklikowie (18 lipca), gdzie serdeczną gościnę mieliśmy u państwa Tarkowskich.

Jeszcze nieudane przedstawienie w remizie OSP w Zaklikowie (ludzi mało, bo i pora nieodpowiednia i reklamy żadnej). Dalej piechotą. Coraz zatrzymywani przez kierowców, korzystaliśmy z zaproszeń tylko wtedy, gdy trasa prowadziła do Lublina. I tak przez Modliborzyce, Kraśnik, Wilkołaz dotarliśmy do Lublina 20 lipca.

Na pierwszym spotkaniu „Semafora” zamiast próby, niekończącym się tematem była gościnność i otaczająca nas życzliwość przez cały czas naszego wędrowania. Dobrze, że w naszej kronice zanotowane są nazwiska i adresy tych osób, które bezinteresownie otaczały nas opieką. Wszystkim wysłaliśmy podziękowania.

Podgrodzie (1960–63)

W sali parafialnej św. Pawła prowadzono „Czwartkowe wieczory” na różne tematy: „Jak pielęgnować niemowlę”, „Zabytki Lublina”, „Piosenka żołnierska”. Wybrałam się na wieczór „Teatr w kościele”. Nie miałam szczęścia, prelegent nie przybył. Dyskutowano. Podobał mi się pomysł wystawienia widowiska pasyjnego. Ksiądz prowadzący wieczór wyznał, że nie potrafi przygotować misterium.

– Jest na sali osoba, która umie robić teatr z amatorami – mówiący wskazał na mnie.

– Mogę przygotować świeckie widowisko, które można będzie pokazywać w zakładach pracy, podmiejskich wsiach. Należy iść do ludzi z pięknym słowem; przez teatr wychowywać, uczyć, wyśmiewać wady. Występy ściągają ciekawych i chciwych rozrywki, a do kościoła i tak przyjdą wierni. Zgłosiło się dwadzieścia młodych osób, różnych zawodów: księgowa, sprzedawczyni, robotnica, chłopci z hoteli robotniczych, inżynier, ślusarz... Grupa ta przyjęła nazwę „Pieszy Teatr Podgrodzie”.

Dyrektorka Lubelskiego Domu Kultury, Irena Szczepowska¹⁴, przydzieliła nam pokój na próby. Niewiele korzystaliśmy z tego pomieszczenia. „Nasza” sala była ciągle potrzebna. Przeniosłam próby „Podgrodzia” do swego mieszkania (16 mkw.). U mnie szyliśmy kostiumy, robiliśmy rekwizyty. Pierwszy program „Kobieta od lat dwu aż do...” Władysława Gołkiewicza. Dwu-, trzyosobowe scenki tej składanki ułatwiły poznanie możliwości indywidualnych.

O repertuar na 1000-lecie Państwa Polskiego prosiłam Danutę Nagórna. Wymyśliła „Ze stuleci polskiego teatrum obrazów siedemnaście dla uczczenia Milenium Polski wyszykowane”. Historię zaczynały słowiańskie „Sobótki” i stary zwyczaj winszowań nowo rocznych z „gwiazdą” i „turoniem”, po nich „Facecje żakowskie”, następnie popisy wagantów na jarmarku, a „Parady” J. Potockiego daliśmy jako spektakl dworski. Sceny z „Krakowiaków i Górali” Wojciecha Bogusławskiego otwierały listę naszych dramaturgów. A. Felińskiego „Barbara Radziwiłłówna”, A. Fredry „Śluby panieńskie”, J. Słowackiego „Maria Stuart” i „Złota czaszka”, S. Wyspiańskiego „Noc listopadowa” i „Ofelia”, G. Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej”, S. Żeromskiego „Sułkowski”, J. Kisielewskiego

¹⁴ Irena Szczepowska-Szychowa (1925–1993) – pierwszy dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie.

„Karykatury”, J. Lutowskiego „Ostry dyżur” i S. Mrożka „Męczeństwo Piotra Oheya”. Każdy fragment sztuki stanowił całość fabularną. Omawialiśmy obrazy w szczegółach. Pokonując senność skrzętnie notowałam uwagi, bo czas pracy twórczej Danki trwa od północy do rana.

Ofiarni „podgrodzianie” w każdą niedzielę z kostiumami w plecakach wyruszyli piechotą o szóstej rano, aby dać spektakl na podmiejskiej wsi. 20 lipca 1960 roku wyruszyliśmy na wyprawę po Roztoczu. Z Miejskiego Wydziału Kultury dostaliśmy dwadzieścia plecaków jako nagrodę za przedstawienia w hotelach robotniczych. Samochód „Permedii” dowiózł nas do Szczebrzeszyna, gdzie w internacie szkoły odbyło się przedstawienie dla wakacyjnego kursu nauczycieli. Po spektaklu zasypano nas pytaniami, dlaczego teatr pieszy, jak sami uszyliśmy stroje, dlaczego nie ma opłaty za wstęp.

Do budynku siedziby Miejskiej Rady Narodowej w Szczebrzeszynie prowadzą schody na obszerny balkon, dobre miejsce na plenerowe przedstawienie; trzech aktorzy w kostiumach żaków przeszli ulicami miasta z transparentem „Dziś gramy”, wykrzykiwali głośno: „Amatorski teatr z Lublina”, „Przyjechał teatr do Szczebrzeszyna”, „Wszyscy na rynek”. Ludzi przybyło wielu, sprawiało to wrażenie, że więcej niż mogą pomieścić domy miasteczka. Stałam w tłumie. Promienie słońca padały wprost na aktorów. Stroje świeżo wyprasowane lśniły bogactwem kolorów, a sylwetki aktorów wydawały się smuklejsze. Usłyszałam szepty. Obejrzałam się. Ludzie nie patrzyli na scenę, półgłosem rozmawiali.

– Nie podoba się państwu przedstawienie? – spytałam grupę stojącą tyłem do sceny.

– Za darmo chciałyby pani miodu?

– Proszę popatrzeć – zachęcałam.

– Zaraz posłuchamy – i nie zmienili pozycji. Przerwałam pokaz dalszych scen.

Wyruszyliśmy jeszcze tego samego dnia do oddalonej o około cztery kilometry wsi Brody Duże. Po drodze, jak zawsze, zapraszaliśmy mieszkańców przydrożnych gospodarstw, prosząc o dalszą reklamę. Ludzie szybko wypełnili niedużą remizę. Nie wszyscy się zmieścili. Zapowiedziałam więc jeszcze jeden spektakl tego wieczoru przy ognisku. Gospodarze przygotowali ogromny stos chrustu i zajęli miejsca koło ogniska, dla występujących przeznaczyli niewielkie płaskie wzniesienie, osłonięte krzewami. W blasku żywego ognia postacie nabierały swoistego uroku; ogień trzaskał wesoło, podsycany suchymi gałązkami, wspaniale pióropusze iskier wzbijały się w niebo. Na prośby widzów powtarzaliśmy niektóre sceny. I tak zaskoczył nas dzień. Wieś bardzo gościnna, licytowano się u kogo lepiej wypoczniemy. Nikomu nie chciało się spać, długo jeszcze śpiewaliśmy

razem, a na pożegnanie miałam gawędę o przyjaźni między ludźmi i jak zwykle zaśpiewaliśmy piosenkę „Podgrodzia”:

*Już ty śpiewasz skowroneczku, już ci ja orzę,
Obu nas przy robocie jedno widzi zorze.
Naucz nas skowroneczku żyć twoim sposobem,
Przyjaźnią łączyć serca, rozdzielać się grobem.*

Pomaszerowaliśmy dalej. Wspaniałe lasy kosobudzkie przemierzaliśmy piechotą, sycąc oczy widokami puszczy. Szliśmy przez Brody, Żurawnicę, Kosobudy, Blizów, Adamów, Potoczek, Jacnię, Grabnik, Podklasztor, Wólkę Husińską, Hucisko, Potok, Senderki, Majdan Kasztelański, Brzeziny, Górecko Kościelne, Górecko Stare. Czerwonym szlakiem turystycznym przez rezerваты Kamiennej i Bukowej Góry do Zwierzyńca, skąd pociągiem wróciliśmy do Lublina. Wystawialiśmy naszych siedemnaście obrazów w każdej mijanej wiosce, przed nami szła fama: „Komedianty idą”. Wstępowaliśmy do domostw, aby porozmawiać z gospodarzami, poznać się wzajemnie i osobiście zaprosić do obejrzenia naszego widowiska. Przychodzili około dziesiątej. Mimo zmęczenia (żniwa) po dwugodzinnym spektaklu nie mieli ochoty wracać do domów – pytali o dalsze losy bohaterów oglądanych scen; bywało że prosili:

– Pokażcie coś jeszcze. – Mówiliśmy:

– Już więcej nic nie umiemy.

– To przedstawiajcie od początku. I powtarzaliśmy do świtu. Na tej wyprawie przez wsie nie spotkaliśmy człowieka, który był w teatrze (1960). Nie zapomnę wypowiedzi starej kobiety, którą zapytałam:

– Co się pani najbardziej podobało?

Odpowiedziała z zapalem:

– Jak wszedł ten w pelerynie i zapytał: „Są wszystkie?” – to wiedziałam, że Polska jest.

Chodziło o Wysockiego z „Nocy listopadowej”. Taki był odbiór!

Wprowadziłam grę wyrabiania w sobie silnej woli przez rzucanie palenia papierosów. Dla tego, który uporał się z nałogiem, nagrodą była uroczyste przypinana złota agraweczka. O picciu alkoholu nie było nawet mowy, ale kiedyś w Ciecierzynie rozlokowaliśmy się na polanie w lasku, aby po marszu odpocząć przed pójściem na wieś, by zapraszać widzów. Zwróciło moją uwagę trzech naszych mężczyzn, których oczy ciągle zatrzymywały się na

kępie krzaków. Niespokojni. Podeszłam bliżej do tej kępy, zobaczyłam butelkę wina. Zbiłam ją bez żadnych komentarzy. Właściciele wina też milczeli.

Z „Podgrodziem” przygotowywałam trzeci program pt. „Flirt z wierszami”. Z niesłychanym zapalem prezentowany w świetlicach hoteli robotniczych, podlubelskich wsiach, szkołach, itp. Po powrocie z lipcowej eskapady wspomnienia, opowiadania nie miały końca, na następną włączkę wybierał się cały zespół. Ale... coraz ktoś zgłaszał, że nie może wziąć udziału w wyprawie: zmienił pracę, nie ma urlopu, jedzie do chorej babci, ktoś miał wesele przyjaciela. Prosiłam, aby nie rozgłaszali swojej rezygnacji, bo to tylko psuje nastrój, pójdę z mniejszą grupą.

W dniu wymarszu zgłosił się tylko najmłodszy „podgrodziak”. Rodzice jego rozeszli się, matka powtórnie wyszła za męża, zostawiając syna teściowej. Babcia sprzedawała włoszczyznę, którą wnuczek przed pójściem do szkoły wynosił na targ, a po powrocie płukał i wiązał w pęczki „towar”, przygotowując do jutrzejszej sprzedaży. Chłopiec zjawił się roześmiany, szczęśliwy, dostał od babci 10 złotych i pozwolenie na wędrowkę.

– Zdaje się, że jestem pierwszy.

– Pierwszy i ostatni... Spojrzałam na niego. Stał zawiedziony, bezradny, bardzo biedny. Szybko zdecydowałam się, powiedziałam:

– Pójdziemy tylko my, dwuosobowa wyprawa turystyczno-krajoznawcza.

Chłopcu wrócił humor, wyjął z plecaka kostium i akcesoria teatralne, zapakował mój śpiwór (nie nosiłam żadnego bagażu) i wyruszyliśmy w Polskę na 28 dni (na tyle wystarczyła moja pensja). Na zwiedzenie Krakowa przeznaczaliśmy trzy dni, Sandomierz, Katowice i pachnące jeszcze zaprawą murarską planetarium, Wrocław – pojechaliśmy do ZOO, Gliwice z palmiarnią, Pieniny, spływ Dunajcem, obydwie Sącze i wszystko, co było ciekawego po drodze, zamki, muzea... On chłonał wszystkimi zmysłami, pytał, porównywał, dużo rozmawiał z ludźmi. Szliśmy przez piękne podgórskie tereny, parę razy krótkie przeloty pociągami.

Po powrocie do Lublina mój podopieczny wypakował moje rzeczy z plecaka, podziękował grzecznie i... więcej się nie pokazał, na próby też nie przychodził.

Po czternastu latach spotkaliśmy się. Obopólna radość. Pracuje, jest zadowolony z małżeństwa, ma dwoje dzieci, starszy chłopiec chodzi do szkoły... Powiedział, że przyjdzie i wszystko opowie. Czekam.

Nim kurtyna pójdzie w górę (1961)

Przyszliśmy z „Podgrodzem” do Dąbrowicy, odległej o siedem kilometrów od Lublina. Na odpoczynek wybraliśmy skarpę przy drodze prowadzącej do dawnego dworu. Zwracaliśmy uwagę przechodniów, a wiszący na drzewie afisz i ustawione w rzędzie nowe plecaki, zaciekawiały. Otoczyła nas młodzież dąbrowicka, wypytywała kiedy będzie spektakl, skąd bierzemy teksty; dziwili się, że nikt nam nie płaci i nie każe, i że piechotą, a najbardziej, że dzisiaj przedstawienie, a nikt sobie roli nie powtarza. Uzgodniliśmy występ na godzinę 17. Była to prapremiera składanki poetyckiej „Flirt z wierszami” – tysiąclecie Polski w literaturze od Reja do Białoszewskiego, przygotowane w kostiumach z epoki współczesnej utworom. Przyszło dużo ludzi. Słuchali z wielką uwagą. Po skończonym przedstawieniu nikt nie ruszył się z miejsca. Podziękowałam, obiecałam, że tu jeszcze przyjedziemy, ale ludzie siedzieli dalej. Wreszcie wstała kobieta i powiedziała:

– I my mamy dla was niespodziankę. Dzisiaj jakby specjalnie dla gości przygotowane przedstawienie. Bardzo proszę, żeby pani kierownik poprawiła, jeśli coś złego zobaczy w naszym odgrywaniu.

Były to zaloty młynarczyka. Aktorzy pięknie wyglądali w barwnych strojach ludowych. Role wypowiadali szybko, na wdechu i wydechu. Stojąc bezradnie przestępowali z nogi na nogę. A ja podczas tych popisów myślałam, co im powiem. Po skończonym spektaklu mówili beztrąsko:

– Prosimy, niech pani mówi, jeśli coś było złego.

– Nie będę mówiła o waszym teatrze, pokażę państwu, jak wygląda moja próba. Jaka jest praca, nim kurtyna pójdzie w górę.

Zaryzykowałam bez porozumienia z „podgrodzakami”, którzy moje wystąpienie przyjęli z aprobatą. „Podgrodziacy” wypowiadali jedno zdanie, różnie je interpretując. Wśród gospodarzy znaleźli się ochotnicy, którzy z zapałem ćwiczyli. „Jak ja cię dawno nie widziałem” – zdanie to zrobiło furorę. Pokazywaliśmy ruch sceniczny i równowagę sceny, a przede wszystkim wyraźne wypowiadanie słów – gospodarowanie oddechem. Szkolenie trwało do godziny dwudziestej pierwszej. Całkiem ciemno było, jak ruszyliśmy z powrotem.

Od tej próby pokazowej w Dąbrowicy przeprowadzamy ją tam, gdzie istnieje teatr amatorski. Mamy opracowane ćwiczenia, gry, rysunki i fotografie, dwie małe składane wystawki, „Jak ubierano się w Polsce” i „Równowaga sceniczna”. Imprezę taką przeprowadzam z „królikami” aktorami moich teatrów, którzy bardzo lubią tę akcję. Nazwałam ją „Nim kurtyna pójdzie w górę”. I tak powstała jeszcze jedna forma pracy.

Radar (1964–1965)

Niedaleko dworca kolejowego, w dzielnicy robotniczej, miał siedzibę klub „Radar”, oczko w głowie Ireny Szczepowskiej, dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie. Klub skupiał młodzież pracującą, trudną, niektórzy już byli karani za drobne kradzieże i rozróbę chuligańskie. Dla bywalców „Radaru” urządzano cykle oświatowe, krajoznawcze, wiedzy o sztuce, literaturze, muzyce, teatrze. Klubowicze mieli swój samorząd, chętnie brali udział w urządzaniu imprez. Otrzymałam propozycję zorganizowania tam zespołu teatralnego. Nie bez tremy stanęłam przed zapełnioną salą. Wszyscy głowy zwrócili w moją stronę.

– Będę mówiła o teatrze... – zaczęłam.

– Posłuchamy, prosimy... – mówili wszyscy naraz. Powstał hałas. Poczekałam chwilę.

– Tych, co zechcą zabawić się w teatr, proszę na estradę – ogłosiłam. Znowu szum. Po ożywionych naradach delegowali trzech chłopców i jedną dziewczynę.

– Prosimy o role. – Na sali śmiech.

– Za chwilę – powiedziałam poważnie. Musimy zastanowić się, co można zrobić, bo trzeba dużej karności, żeby wytrzymać na próbach.

Mówiłam o ćwiczeniach wymowy, ruchu scenicznym, oddechu, o tym, że trzeba nauczyć się stać, siedzieć, chodzić – a wszystko ma być dokładnie obliczone. Tak przedstawiałam pracę w zespole teatralnym, jakbym chciała swoich słuchaczy zniechęcić. I chwyciło na zasadzie przekory. Po ożywionej dyskusji między sobą, zaczęli przenosić krzesła na estradę. Późnym wieczorem składałam sprawozdanie dyrektorze WDK, która czekała na mój powrót z klubu.

Rano pojechałam do Warszawy. Danuta Nagórna wysłuchała cierpliwie mego opowiadania o klubie i jego bywalcach. Zdecydowała: „Zrobimy krótkie formy teatralne, aby ich nie znudzić”. Wybierała teksty, szkicowała sytuacje, kostiumy, dekoracje. Miała gotowy obraz. Skrzętnie wszystko notowałam. Lubiłam te twórcze noce u Danki.

Na następnym spotkaniu w klubie przedstawiłam amatorom zabawy w teatr scenariusz, wyśmiewający wady i przywary ludzkie, pt. „K.I. Gałczyński w Radarze”. Zgłosiło się 18 osób, wytrzymało na próbach i zostało w zespole dziewięć.

Tak się zaczęła moja ciekawa praca z zespołem „Radar”. Ci pełni zapału młodzi ludzie, chwyтали szybko sens tekstu, wnikliwie i inteligentnie go interpretowali, ale z ich wymową miałam ogromne kłopoty. Nie dlatego, że nie umieli, czy nie mogli mówić poprawnie, bez zmiękczeń. Oni nie chcieli pozbyć się „fasonu”, charakterystycznego sposobu wymowy swojej dzielnicy.

Uszyto stroje i zaczęły się występy; dla szkoły zawodowej, wojska, ociemniałych, Ligi Kobiet i innych. „Radarowcy” grali chętnie, natychmiast dostosowywali się do warunków, otoczenia, sytuacji i odbiorcy. Umieeli pozyskać sobie widownię. Na przykład występ na początku stycznia w Domu Rencisty na Węglinie. Bałam się tego spotkania. O ludziach starych mówili z pogardą: wapniak, ramol, próchno i jeszcze gorzej. Toteż na próbie przed występem u staruszków mówiłam, że boję się kompromitacji, bo tam mieszka dużo emerytowanych nauczycieli, a znają się na teatrze. Próżne obawy. Wielkie brawa. (Wymowa mogła uchodzić za zamierzone udziwienie Gałczyńskiego). Po znakomitym występie, zaimprovizowali życzenia noworoczne dla wszystkich widzów, poważnie, z szacunkiem i obietnicą, że będą tu często przyjeżdżać. Brawa. Nie koniec niespodzianki. Nie wiedziałam, że moi milusińscy przywieźli cyklameny, każdy kwiatusek przybrany zielonością i wstążeczką. Teraz, kolejno schodząc z podium, chłopcy składali życzenia upatrzonym na sali paniom i wręczali im kwiatek, dziewczęta panom. Na sali ogromne wzruszenie. Zaczęli przemawiać widzowie, podziękowaniom nie było końca. Cieszyli się, że mogli zobaczyć wzorową młodzież, że są szczęśliwi, bo spokojni o jutro, że doczekali takich czasów, że ta grupa młodzieży będzie miała duży wpływ na likwidację chuliganów i opryszków. Aktorzy wrócili na podium, poważnie słuchali. Odniosłam wrażenie, że nie była to gra. Uroczystości trwały od 18 do 22.

Po paru udanych występach, dyrektorka poleciła zgłosić zespół na Festiwal Teatrów Poezji w Lublinie. Komisja klasyfikacyjna konkursu, po obejrzeniu czterdziestu dwu zgłoszonych teatrów amatorskich, odrzuciła tylko „Radar”. Cóż – wymowa. Niedopuszczeni do konkursu aktorzy, dosadnie i krótko wyrazili swoje zdanie o komisji; mnie obdarowali kwiatami i prosili o wydanie opinii o przedstawieniu. Powiedziałam: Dopóki nie pozbędziecie się slangu, „ścięcia” w ocenach mieć nie będziemy. Dyrektorka, dowiedziawszy się o porażce pupili, zapowiedziała wizytę w klubie. Po obejrzeniu spektaklu zdecydowała:

– Pojedziecie do Szczecina na Festiwal Poezji Gałczyńskiego, posłuchacie jak mówią inni.

W przedstawieniu brało udział 9 osób. Jako opiekunka z WDK pojechała Zofia Kaleta. Zajechaliśmy. W pięknej komnacie Zamku Książąt Pomorskich odbywał się festiwal. Zajęliśmy miejsca. Na scenie w półkolu recytatorzy, ubrani w czarne swetry, mówili wiersze liryczne. Chciałam podzielić się wrażeniami, obejrzałam się – miejsca, które przed chwilą zajmowali, były puste. Wyszłam. Siedzieli grzecznie w samochodzie.

– Co mamy słuchać, jak karawaniarz o chmurce tarani. Na każdy nowy program wchodzili cichutko i wychodzili bezszmerowo. Ale pech! Wszystkie zespoły występowały w czarnych swetrach. Czym ich zainteresować. Musimy być trzy dni, oglądać i słuchać. Jak zaradzić, aby nie wymyślili jakiegoś figła? Zauważyłam napis na prowizorycznych drzwiach „Wejścia nie ma”; pchnęłam drzwi. Schody prowadziły na szeroki, piękny balkon wykładany białym marmurem. Pomieszczenie to było w remoncie. Stąd jak na dłoni widać było widownię, stół jury, scenę, kulisy, urządzenia oświetleniowe itp. Zaproponowałam

– Jak chcecie, zaprowadzę was tam, skąd będziecie widzieć wszystko i możecie sobie robić, co chcecie, byle cicho, wychodzić nie wolno, przyjdę po was. Chciałam wyciągnąć ich z samochodu, na którym był napis Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie. Rozmawiali. Język moich pociech nie wydawał mi się odpowiedni do reklamowania kultury naszego województwa. Siadłam obok drzwi na balkon, za którymi zniknęli niezauważeni przez nikogo moi aktorzy. Skupiłam teraz uwagę na ciekawym programie „Zielonej Gęsi” (znowu czarne swetry). W czasie przerwy między występującymi zespołami weszłam na balkon. Stałam zaskoczona. Chłopcy porozbierani do kąpielówek, dzień 14 maja 1965 roku był gorący. Za marmurową balustradą dwóch obserwowało zmianę dekoracji, paru grało w karty, wszyscy – nudzili się piekielnie. Podbiegli do mnie i zaczęli udowodniać, że zagrają lepiej i to... zaraz. Ostudziłam zapał – dobrze, jutro, jak przywieziemy stroje. Zeszłam do jury i opowiedziałam o swojej sytuacji, że mam zespół młodzieży trudnej i proszę, żeby pozwolono nam wystąpić poza konkursem. Grożą, że sami wyjdą na scenę i pokażą, jak się gra! Po krótkiej ożywionej naradzie powiedziano mi:

– Chętnie obejrzymy, prosimy.

– Teraz nie, jutro, jak przywieziemy stroje. Zaraz po przyjeździe do Goleniowa, bo tam w hoteliku mieszkaliśmy, zrobiłam próbę, na której po raz pierwszy wyrzekli się swego „fasonu”, mówili bez zmiękczeń. Zadowolona z próby ogłosiłam na dobranoc:

– Jutro o szóstej pobudka i każdy prasuje swój kostium.

Mam zwyczaj dokonywania przeglądu aktorów przed przedstawieniem. W czasie spektaklu jestem na widowni. Raniutko przybiegły dziewczyny.

– Nie ma naszych sukienek!

– Jakże nie ma? Sama sprawdzałam i włożyłam do samochodu! Poszłam pokazać im kolorową torbę, w którą włożyłam trzy sukienki dziewcząt. Torby rzeczywiście nie było! Przypuszczalnie została „zorganizowana”, czyli wyjęta niepostrzeżenie. Do jazdy chętnych było więcej niż miejsc w samochodzie, a zemsta jest bronią ludzi słabych. Jak ubrać trzy dziewczyny? Mają tylko kapelusze.

Była niedziela. W kiosku kupiłam igły i żyłki. Chciałam coś wymyślić z hotelowych prześcieradeł, może czymś podfarbować, porobić jakieś nalepki. Na sklepie tekstylnym napis: „remanent”, wewnątrz znajdowali się ludzie. Zaczęłam stukać grzecznie, potem natarczywie. Do drzwi podszedł pan, ołówkiem wskazał na napis. Skinęłam głową i dając rozpaczliwe znaki, prosiłam, aby otworzył. Otworzył i powiedział pół żartem:

– Po pierwsze jest niedziela, po drugie remanent, a po trzecie tekstylia otwieramy o dziesiątej.

– Ach, proszę pana, co się stało, przysłali mnie na festiwal szczeciński z młodzieżowym teatrem, który w Goleniowie też występuje – serdecznie zapraszam; zapomniałam kostiumów dla dziewcząt, poproszę te trzy kolory po trzy metry, bo nie mam po co wracać do pracy w Lublinie. Nie będę zawracała głowy rachunkiem, zapłacę ze swoich pieniędzy.

– Trzeba odmierzyć – powiedział pan – i wypiszę rachunek

Wróciłam z materiałami. Radość, szczebiot, licytowanie kolorów, przymierzanie itp. Sprzątaczką zauważyła, że ciąłam żyłką materiał rozłożony na podłodze korytarza, nastąpiło szybkie pouczenie, co i komu golić żyłką, a nie korytarz. Udało mi się wytłumaczyć pani, że w pokojach dywany są przybite do podłogi, a tu linoleum, na którym prawie nie znać cięć, zapewniam, że uważam, by niczego nie zniszczyć, a na występ dziewczyny muszą mieć sukienki. Przyznała rację. Pożyczyła nożyczki i poszła. Za chwilę wróciła, radośnie oznajmiając, że szwalnia obok hoteliku nie wyrobiła planu i dzisiaj szyją.

W szwalni było kilka wolnych maszyn, a nowa protektorka opowiedziała o naszym kłopotcie. Na dziesiątą trzy sukienki były gotowe, naturalnie bez wykończenia, ale kto by zwracał uwagę na takie głupstwa.

Raniutko, przed wyjazdem z Goleniowa do Szczecina, obchodziliśmy imieniny pani Zofii Kalety, a zorganizowali je sami, „radarowcy”. Chłopcy wręczyli swojej opiekunce piękne tulipany, wygłoszono życzenia i wierszyk okolicznościowy. Wzruszenie!

Zainteresowałam się, skąd takie piękne kwiaty, wczoraj nie mieli ani grosza na papierosy. Uspokoił mnie: w centrum miasteczka na okrągłym klombie posadzono tulipany, im bliżej centrum koła – tym większe.

– Nie deptaliśmy kwiatków. Kulturalnie załatwiliśmy z samego środka.

Szczęśliwie zajechaliśmy do Szczecina. Na znajomy balkon weszli cichutko. Nie mogłam ochłonąć z wrażenia. Co za spryt! Miednicę, żelazko i koc do przedstawienia „zorganizowali” z hotelu w Goleniowie. Teraz spokojnie w tych pięknych marmurach myli się, golili, prasowali stroje – pogodnie, bez pośpiechu. Na dole jacyś młodzi ludzie wnosili dekoracje, ustawiali światła, szykowali scenę do swego występu. Obejrzałam „Radar” w kostiumach i zgłosiłam jury gotowość zespołu. Przewodniczący poprosił konferansjera o zapowiedź występu lubelskiego zespołu. Zaczęły się zgrzyty:

– Zespół nie jest zgłoszony do konkursu – powiedział zapowiadający. Między obu panami wynikła szybka wymiana zdań. Przewodniczący powiedział krótko:

– Proszę wprowadzić zespół. Scena była całkowicie wygaszona. Podeszłam do zagniewanego zapowiadacza i poprosiłam o reflektory, nie chciał słuchać. Zszedł z podium, siadł w pierwszym rzędzie przybierając minę, która odbierała mi wszelką nadzieję porozumienia. Zajęłam opuszczone przez niego miejsce i głośno, posługując się jego zwrotami mówiłam:

– Proszę lewy bezbarwny – reflektor puścił smugę światła – proszę podświetlić środkowy... i tak poczynając, wprawdzie niefachowo, sprawiłam, że scena tonęła w świetle. A „radarowcy”? – już szli gęsiego, rytmicznie zginając kolana pod kątem prostym, nieśli oburącz kolorowe portrety: żaby, gęsi i fiołka prezentując je na prawo i lewo. Grali. Wychodząc pojedynczo na stopnie „maszerowali”. Za ten „marsz” dostali ogromne brawa, a przejście to sami sobie wymyślili.

Wyglądali świeżo i lekko jak motyle. Dziewczęta w jasnych, zwiewnych sukniach i szyfonowych kapeluszach, wszyscy chłopcy mieli spodnie kremowe, marynarki: czerwoną, żółtą, seledynową, fiołkową, pomarańczową i niebieską. Takie kolory dla mężczyzn w 1965 roku były szokujące, wtedy noszono wszystkie odcienie popielatego, ciemny brąz i granat.

Gwoździe potrzebne do zawieszenia portretów osła, fiołka i gęsi wbili w czasie dyskusji przewodniczącego jury i zapowiadacza. Wielkie brawa dostały dziewczyny, a sprawił to przypadek. Mówiły właśnie „Strasną zabę”, gdy jednej dziewczynie szpilkowy obcas wszedł w szparę podłogi. Nie spieszyło to aktorki. Wdzięcznym ruchem wyjęła pantofel i włożyła na nogę. Partnerka przeczekwała w bezruchu, po czym obydwie kontynuowały program. Dziękując jury dowiedziałam się, że zostaliśmy zaliczeni do teatrów poezji

biorących udział w konkursie K.I. Gałczyńskiego, że „Radar” jest pierwszym zespołem, który wprowadził ruch i kolorowe stroje na konkursie szczecińskim. Zdobyliśmy wyróżnienie i nagrodę rzeczową – komplet płyt z nagraniem „Pana Tadeusza”. Pochwalono nas za pomysł interpretacji, układ i dobór tekstów (to zasługa „jaskółczanki” – Danuty Nagórnej). Były artykuły i fotografie w prasie szczecińskiej i lubelskiej. Słowem – sukces! Z tym zespołem zrobiłam drugi program poezji J. Tuwima. Danuta Nagórna tym razem wprowadziła do programu piosenkę i taniec charakterystyczny. Świetnie dobrane teksty – jakby drugi „Kram z piosenkami” – wiersz liryczny i satyra. Aktorzy doskonale bawili się na próbach. Przed niezastłoniętymi oknami klubu, wychodzącymi na ruchliwą ulicę przydworcową, pełno było widzów przyglądających się ćwiczeniom. Odbywały się już ostatnie próby, stroje i rekwizyty gotowe, gdy milicja przerzedziła bywalców klubu. Mimo że nikt z aktorów nie został aresztowany, a kradzież nie dotyczyła nikogo z zespołu teatralnego i do klubu nadal przychodzili, byli całkowicie pochłonięci sprawą aresztowanych kolegów. Wyraźnie przestał ich obchodzić teatr, Tuwim, mnie nie zauważali, nie słuchali – mówiłam w przestrzeń. Nieprzyjemnie. Myślałam, że ta grupa, jak wszystkie moje poprzednie, także będzie odwiedzać wsie w Lubelskiem. Wszystko przepadło. Nie potrafiłam ich zmobilizować po raz drugi. Szkoda. To wielka moja porażka.

Żywe słowo (1966–1968)

W roku szkolnym 1966/67 i 1967/68 podjęłam się zorganizowania i poprowadzenia „Koła Żywego Słowa” w Młodzieżowym Domu Kultury w Lublinie. Utworzyła się grupa trzydziestopięciosobowa, dwunasto-, czternastolatków, dzieci nienawykłych do ładu i współżycia w gromadzie. Rozbrykane towarzystwo udało się opanować dzięki pomocy czterech chłopców z „Małej Latarni”. Ci „asystenci” ćwiczyli śpiew przy akompaniamencie gitary, dykcję i ruch sceniczny. Z „Żywym Słowem” nie wyjeżdżaliśmy poza Lublin. Na akademiach, zjazdach i seminariach oglądano „Żywe Słowo” w „Niezwyczajnej przygodzie” J. Odrowąża; sztuce o przygodach dzieci, które płyną zdalnie kierowanym statkiem i w inscenizacji wierszy K.I. Gałczyńskiego. W próbach było widowisko „Siła uciech i facecji gwoli przypomnienia, jak to herbowemu koźlęciu brody przybywało” Władysława Gołkiewicza. To rodzaj wodewilu przedstawiającego dzień, w którym mieszkańcy grodu dowiedzieli się o nadaniu Lublinowi praw miejskich w 1317 roku.

Przedstawienie zaczyna pieśń rycerzy pełniących straż u bram miasta:

Popatrz tam daleko

Hen za lasem za rzeką

Widać kurzu tumany

Pewnie obcy, nieznany

Może Tatar ponury

Hej rycerze na mury.

W dzień targowy na rynku przed ratuszem wobec tłumu mieszczan, szlachty, handlujących kramarzy, wędrownych kupców i wszędobylskich żaków, w asyście halabardników, herold ogłasza orędzie króla Władysława Łokietka o nadaniu przywileju lokacyjnego miastu Lublinowi.

W „Sile uciech...” brał udział cały zespół. Do premiery nie doszło. Pan Mieczysław Ciesielski – ówczesny dyrektor Młodzieżowego Domu Kultury – lubił wszystkiego sam dopilnować, często hospitował nasze zajęcia. Wymagał, aby podczas wizytacji obecni na

próbie wstawali, jak w szkole. Przeszkadzały mi te odwiedziny. Przy wspólnym wykonywaniu strojów i rekwizytów poruszałam różne tematy, nie prawiąc oficjalnych morałów, przeglądaliśmy książki i albumy, mówiłam o pracy w zespole.

Na jednej z wizyt dyrektor zobaczył próbę żaków w nowo uszytych kostiumach (z poprutyh strojów „Podgrodzia”). Napisana dla żaków piosenka i zabawa podobały się dyrektorowi. Odtąd tę scenę pokazywano przy różnych okazjach, do momentu, kiedy były gotowe przekupki, które ze straganami obwieszonymi „towarem”, trzymanymi jak parasolki, wyglądały barwnie i statecznie. Odtąd zajęły miejsce żaków i były oczkiem w głowie, aż do pojawienia się rycerzy miejskich w kolczugach wykonanych ze sztywnego sznurka, w srebrzonych hełmach, z tarczami i mieczami. I tak stałe musiałam przygotowywać sceny „na pokaz”. I do widowiska nie doszło. Na trzeci sezon nie zostałam zaangażowana.

Hanka (1968–70)

1 września 1968 roku podjęłam pracę w Międzyspółdzielnianym Klubie „Hanka” przy Obuwniczej Spółdzielni Pracy w Lublinie. Mimo pianina, sali ze sceną i życzliwości pani kadrowej – klub był martwy. Na ogłoszenie werbujące do zespołu teatralnego, nikt się nie zjawił. Skrzyknęłam „Małą Latarnię” dwie dziewczyny i siedmiu chłopców; była to już młodzież czternasto-, szesnastoletnia.

Przygotowaliśmy wieczornicę poświęconą Lublinowi. Na imienne zaproszenia przybyło ponad pięćdziesięcioro dzieci. Atrakcje to grana bajka, wędka szczęścia, kotyliony, zgadywanki, płasy. Wesoło. Wszystko wskazywało na to, że zabawa się uda, żeby nie mikrofon, który przyniosła pani kadrowa. Dzieci nieśmiałe.

– Kto do mikrofonu powie wierszyk, dostanie wielki lizak – obiecała. Po cukierek zgłosił się mały chłopczyk, ale nie umiał żadnego wierszyka.

– To nic – pocieszała odważnego – powiedz do mikrofonu, jak się nazywasz. – Mały i z tym miał kłopot.

– Jak mamusia mówi do ciebie?

– Mamusia mówi do mnie mój skarbie.

– A tatuś jak przychodzi z pracy?

– Tatuś jak przychodzi z pracy, to zdejmuje pas.

– Dlaczego?

– Bo by tatusiowi zelówki z tyłka zleciały i cholewy z brzucha. Cisza... i głos skarbka: – Proszę lizak.

Do teatrzyku zgłosiły się 34 osoby. Władysław Gołkiewicz napisał dla nich jednoaktową sztukę „Droga”. Jest to historia znalezionej metalowej skrzynki z przechowywanym w niej sztandarem, mapą i wierszami poety żołnierza. Dekoracje do sztuki stanowiły dwa szare pasy z nazwami pól bitewnych żołnierskiej drogi do Polski w latach 1939–1945. Program utrzymał się na afiszu parę lat.

Miło wspominałam dwuletnią pracę w „Hance”. Tutaj udało się wystawić wieloosobowe widowisko „Siła uciech i facecji gwoli przypomnienia, jak herbowemu

koźleciu brody przybywało” W. Gołkiewicza. Tu także z udziałem całego zespołu odbył się „Wieczór twórczości Stanisława Magierskiego”, współzałożyciela „Latarni”.

* * *

Wyprawa na Roztocze liczyła pięć dziewcząt i jedenastu chłopców, i trwała 24 dni (4–28 lipca 1970). Do Piotrkowa dowiózł nas samochód Spółdzielni „Hanka”, dalej szliśmy polnymi drogami przez: Piotrków, Olszanę, Żuków, Walentynów, Pamięcin, Wólkę, Pustelnik, Częstoborowice, Siennicę Małą, Pilaszkowice, Bazar, Dąbie, Sobieską Wolę, Stolnikowice, Antoniówkę, Maciejów Stary, Słupeczno, Wysokie, Zabłocie, Biskupice, Otroczy, Zdziłowice, Tokary i Hutę, skąd wróciliśmy autobusem do Lublina.

Na każdej włóczędze są przygody, ale to, co się wydarzyło w małej wsi Pustelnik, na długo zostanie w pamięci uczestników. Po przedstawieniu „Drogi” śpiewaliśmy jak zwykle piosenki partyzanckie, między innymi „Kołysankę leśną”, którą napisał Stanisław Magierski dla oddziału Armii Krajowej w 1943 roku. „Dziś do ciebie przyjść nie mogę” cała wieś śpiewała z nami. Zнали tę piosenkę. Byliśmy bowiem na terenach działań „Nerwy” z AK. Mieszkańcy wioski opowiadali o oddziałach partyzanckich i udziale w nich tutejszej ludności.

* * *

Zaskoczyła mnie wizyta dzielnicowego MO Poleszaka. Chciał wiedzieć, jak się sprawuje w zespole K.

– Bo mam dowody – mówił – że brał on udział w kradzieży towaru z kiosku na dworcu PKP. K. nie był karany, szkoda oddać go do poprawczaka. Tam nic dobrego się nie nauczy. Pomyślałem, że może pani ma wpływ na chłopaka.

– Popróbuję.

– Niech K. zetnie włosy.

– Proszę pana włosy są mu potrzebne, on gra pazia.

– Dobrze – zgodził się milicjant – niech już nosi, jakie chce.

Nazajutrz K. przyniósł na próbę kilka czekolad. Pogodny. Częstując cukierkami opowiadał, jak to był u babci i grabił siano, za co dostał sto złotych i kupił za nie słodycze... Powtórzyłam mu rozmowę z przedstawicielem władzy; zwierzyłam się chłopcu, że chciałam mieć wpływ na młodzież, ale mi się to nie udaje, pochwaliłam się, że obroniłam

go przed obcięciem włosów i uprzedziłam o skandalu, do jakiego sam może doprowadzić. Więcej tego tematu nie poruszaliśmy. Odtąd z zaangażowaniem pomagał w przygotowaniach wyprawy „Latarni” po Roztoczu w lipcu i wędrówki nad jezioro Białe w sierpniu. Dużo mówiliśmy idąc koło siebie. Kiedyś wszyscy pluskali się w płynącym przez Żuków strumieniu.

– Wchodź do wody, dlaczego się nie kąpiesz?

– Bo pani się nie kąpie.

Po skończeniu szkoły podstawowej, przyszedł pokazać świadectwo i wiersz na pożegnanie „Małej Latarni”. Nie honor mi być w zespole z konusami powiedział. Oto trzy z ośmiu zwrotek tego wierszyka:

(...)

Potem pierwszy występ i wiadomo trema

A zresztą któż dzisiaj jej nie ma

Nawet gdy się w sklepie kaszankę kupuje

To się człowiek wstydzi i strasznie tremuje

W tym roku wędrowaliśmy po całym Roztoczu:

Byliśmy w Żukowie, Piotrkówku, Otroczu

Choć nie zachowywaliśmy się zbyt grzecznie

Mimo to przyjmowano nas wszędzie serdecznie

Jakże jest nam smutno, że rozstajemy się z Latarniowcami

Może już na zawsze będą dla nas tylko wspomnieniami

Może więcej nigdy ich nie zobaczymy

O jakże nam smutno, bardzo się martwimy.

Dziwny to był chłopiec. Po kilku latach spotkaliśmy się przypadkowo.

– Co słyhać?

– Skończyłem Mechaniczną Zasadniczą Szkołę Zawodową. Pracuję. W dniach wolnych od pracy idę z plecakiem w Polskę, przeważnie sam. No, nie sam – poprawił się – z książką.

Lubartowska 24 (1975–78)

Podwórko Lubartowska 24 mimo paru drzew jest ponure i jak inne podwórza przy tej ulicy cuchnące wspólnym ustępem i przepełnionymi śmietnikami, w których gospodarzą całe rodziny szczurów. Posesja obudowana trzypiętrowymi oficynami pulsuje gwarem dzieci, przekrzykujących się głośnikami z okien, nierzadko też wybucha zawzięta pyskówka, czy pijacka awantura.

W oficynie, w dwuizbowej suterenie, ma swoją siedzibę świetlica TPD. W szatni ciasno. Nie ma miejsca na przybicie wieszaków, a te, które są, szybko się zapelniają, na krzesłach i pod ścianami stosy okryć. Druga izba ma około 40 mkw., pod sufitem dwa zakratowane okna, wpuszczone w murowaną obudowę, niewiele przepuszczają światła. Wilgoć. Ze ścian odpada kawałami tynk.

Do świetlicy przychodzą dzieci w różnym wieku. Starsze dwunasto-, szesnastoletnie grają w tenisa stołowego, który zajmuje pół sali, w drugiej połowie z gromadką młodszych prowadzi zajęcia przy stolikach czuła, wyrozumiała wychowawczyni Zofia Kaleta. Dzieci słuchają czytanych przez nią książek, rysują, układają budowle z klocków, niektóre odrabiają trudniejsze lekcje. Na prośbę pani Kalety poprawiam interpretację wierszy, które przygotowała na uroczystość Dnia Kobiet. Do imprezy tej udało się wciągnąć wszystkich bywalców świetlicy. Dzieci namalowały kwiatki, każde dla swojej mamy. Wychowawczyni rozniosła około 60 zaproszeń, zachęcając rodziców do obejrzenia imprezy. Mimo tych zabiegów, na przedstawienie przyszły trzy mamy i jeden tata. Zawiodły także władze TPD i Komitetu Osiedlowego. Sytuację uratował przedstawiciel Towarzystwa Kultury Teatralnej Jerzy Młotkowski, serdecznie zachęcając wykonawców do dalszej pracy i obiecując opiekę towarzystwa.

Taki miał początek w marcu 1975 roku teatrzyk „Latarnia” przy świetlicy TPD, który istniał ponad trzy lata. Z młodszymi opracowałam „Balladę cygańską”, składankę o urokach wędrowek wśród pól i lasów. Przedstawienie łączyła piosenka, a każde dziecko mówiło wierszyk. Na tę okazję z powierzonych nam przez TKT materiałów uszyto stroje cygańskie – starsze dziewczęta pomagały. Radość, przymierzanie, przybywało chętnych. Ciągłe zamieszanie. Na każdej próbie zjawiały się inne dzieci, wracały poprzednie i tak w kółko. W opanowaniu niesfornej gromady pomagali „starzy latarniowcy” – Urszula Duk i Zbigniew

Małyska, studenci, którzy dwa razy w tygodniu uczyli wierszy, piosenek, bawili się z dziećmi, toteż szybko zyskali sympatię malców. Urszula i Zbyszek jeździli także na wieś, aby po występach dziewcząt z „Zielonej gęsi” przedstawić własny repertuar: inscenizację satyr I. Krasickiego.

W dniu premiery „Ballady cygańskiej” zjawili się i ci bywalcy świetlicy, którzy przestali uczestniczyć w próbach. Jakoś poprzebieraliśmy wszystkich chętnych. Przy ognisku cygańskim z powagą i nieświadomą kokieterią wypowiadali swoje króciutkie role. Starsi chłopcy po występie w Dniu Kobiet w następnych przedstawieniach nie chcieli grać. Szkoda. Z sześcioma dziewczynami przygotowaliśmy „Zieloną gęś” i inne utwory Gałczyńskiego. Zofia Matyaszevska opracowała program. Umieściła w nim, oprócz informacji o wykonawcach, krótką biografię autora i fragmenty jego poezji. Przepisała na maszynie ponad dwieście egzemplarzy, które w ozdobnej okładce, wykonanej przez Janusza Lisaka, stanowiły dodatkową atrakcję. Przed przedstawieniem, kiedy powoli zapełniała się widownia, rozdawaliśmy tylko dziesięć tych „książeczek” pod warunkiem przeczytania głośno wiersza z pierwszej strony. W każdym egzemplarzu był inny wiersz. Czytali – często jeden utwór parę osób – różnie interpretując. Wywiązywała się dyskusja. Skracało to czekanie.

W związku z szyciem kostiumów do Gałczyńskiego miałam jaskrawy przykład fałszywej ambicji. Prezentując matce strój uszyty przez córkę powiedziałam:

– Chętnie nauczę dziewczynkę kroju, bo zdolna. – Na to mama wydeła dumnie usta i powiedziała:

– Dokąd ja żyję, moja córka szwaczką nie będzie. Syn tej pani przebywał właśnie w zakładzie karnym.

Działalność „Latarni” zataczała coraz szersze kręgi, zamawiano nasze występy na różne okazje. Z instytucją, która chciała nas gościć, ustalałam rodzaj nagrody dla wykonawczyń. Na przykład: sześć jednakowych książek, żeby nie było sporów, bilety do teatru, paczki ze słodyczami itp. W Domu Kultury Kolejarza nagrodą miało być 200 zł na wakacyjną wędrownkę. Po wieczorze poezji Gałczyńskiego niemilknące brawa. Wywiązała się żywa dyskusja. Dziewczęta otoczone widzami odpowiadały na pytania. Wiele serdeczności. Widzowie zorganizowali dla wykonawczyń słodkie przyjęcie, znalazły się kwiaty. Dyrektor Domu Kultury Kolejarza podwoił kwotę nagrody. Sukces zachęcił dziewczęta. Z większym zapałem, rzetelnie pracowały teraz na próbach, aby wydobyć sens wypowiedzianych myśli. W repertuarze mieliśmy: „Śmierć Ofelii”, „Melodie Warszawy”, „Dziewczynkę z zapalkami”, „Księżniczkę na grochu” i „Łupiskórkę”, umiały opowiedzieć kilka bajek. Jako dobre „wróżki” prowadziły zabawy choinkowe w kilku instytucjach. Z

przedstawieniami byliśmy w Puchaczowie, Białobrzegach, Pszczelej Woli, Osmolicach, Krzczonowie, Kurowie, Kraśniku, Piotrowicach i wielu wsiach podmiejskich. W Dęblinie dały trzy występy. W Lublinie wystąpiły w Klubie Niewidomych, Dziecięcej Klinice Chirurgicznej, w świetlicach TPD. Do popisów w swojej dzielnicy nie miały chęci. Nie namawiałam.

Świetlica nasza ciekawiła nie tyle władze TPD, co ludzi parających się pracą z dziećmi i młodzieżą. Na zajęcia praktyczne zgłosiło się do nas Pomaturalne Studium Medyczne, zespół pracowników socjalnych. Studenci drugiego roku przychodzili po osiem osób. Młodsze dzieci chętnie popisywały się, młodzież nie chciała obcych. Tłumaczyłam – to wyróżnienie dla nas, nie możemy zawieść. Wizytujący nas będą prowadzić zajęcia w świetlicach w całej Polsce. Wreszcie ich przekonałam. Na szczególną uwagę zasługuje fakt wyrzeczenia się przez chłopców gry w tenisa stołowego i to przez siedem kolejnych czwartków. Apelowałam o pomoc do dziewcząt – zgodziły się być „królikami” i nie zawiodły. Cierpliwie znosiły poprawki na tym samym tekście wypowiedzanym kilkakrotnie, inaczej interpretując go zależnie od zaleceń. Po tych niezbyt miłych dla nich próbach pokazowych – bo nikt nie lubi uwag przy obcych – i żeby zostawić dobre wrażenie na naszych gościach, dziewczęta nakładały kostiumy i dawały pełen spektakl. Był to zawsze koncert gry. Potrafiły się skoncentrować. Ze wzruszeniem patrzyłam na płynność ruchów, swobodę gry i opanowane słowo. Zdawało mi się, że siedzę na wielkiej zapelnionej widowni, a nie wśród ośmiorga słuchaczy studium, w małej, szarej świetlicy.

Studenci mieli notować uwagi i pytania, a tymczasem obserwatorzy naszej pracy – przeszkadzali. Oto przykłady: przy zawieszaniu portretu osła, dziewczyna wbijała w ścianę gwoździ i nie trafiła, usłyszeliśmy jednosylabowe dosadne słowo. Student natychmiast zapytał:

- Z jakiego środowiska są te dziewczyny? A inny zaraz chciał wiedzieć:
- Co pani mu powiedziała do ucha, że usłuchał i wychodzi? Albo uwagi na próbie:
- Dlaczego pani chwali, przecież to jeszcze niedobre?

Po próbie i pokazach małych form teatralnych Gałczyńskiego, omawialiśmy rodzaje zajęć rozbudzających zainteresowania: czytelnictwo, kolekcjonerstwo, malowanie, lepienie, wycinanki – organizowanie pokazów i wystaw. Do wizyt czwartkowych przygotowywałam się, aby każdej grupie przekazać metody pracy. Wierzyłam, że przyszli świetlicowcy będą omawiać i wymieniać między sobą korzyści wyniesione z hospitacji. Studenci słuchali, pytali, dyskutowali. Na zajęcia przychodzili o 18., a opuszczaliśmy świetlicę około 24. Wyrzekali się kolacji, aby ćwiczenia i zabawy przerobić praktycznie.

Po skończonych praktykach poprosiłam nauczyciela Państwowego Studium Medycznego o wgląd w prace słuchaczy studium na temat hospitacji zajęć w świetlicy. Dostałam wszystkie opracowania. Wszyscy zgodnie opisali przemiłą staruszkę, która się poświęca i wilgoć na ścianach.

Na sierpniową wędrowkę w 1976 roku zgłosiły się tylko trzy dziewczyny. Bez szkody dla przedstawienia zmodyfikowałam całość. Dziewczęta zapakowały do plecaków stroje do „Zielonej gęsi” i wyruszyłyśmy polnymi drogami w Polskę. Bardzo chętnie i sprawnie przebierały się, aby dać przedstawienie na podwórkach, gankach domów itp. Wszędzie podziwiane, zapraszane. W bardzo dobrym nastroju, przy słonecznej pogodzie, klucząc po bezdrożach przeszłyśmy przez Węglin, Węglinek, Konopnicę, Marysin, Tereszyn, Strzeszkowice, Czólna, Tomaszówkę, Niedrzwicę i... w pewnym momencie wynikła niespodziewana awantura między dziewczętami. Nie mogłam dowiedzieć się, o co skakały sobie do oczu. Na prośby i apele do rozsądku nie reagowały. Przerwałam wędrowkę. Wróciłyśmy autobusem.

Po wakacjach dziewczyny przyszły na próbę sympatyczne i nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek były skłócone. O nic nie pytałam. Zaczęła się normalna praca. „Latarnia” zdobywała popularność. Dawałyśmy przedstawienia na wsiach, dziewczęta oglądały spektakle w Warszawie, między innymi „Żegnaj Judaszu” Iredyńskiego, „Emigrantów” Mrożka, „Pluskwę” Majakowskiego, w Łodzi byliśmy na „Operetce” Gombrowicza, a w Lublinie korzystałyśmy z zaproszeń na próby generalne w Teatrze im. J. Osterwy. Czytały recenzje, dyskutowały na próbach, nie kaprysiły – wydawało się, że już nie będzie większych przykrości. Przeliczyłam się.

Późną jesienią 1978 roku wychowawczyni wyszła do biura TPD. Zostałam z dziećmi, które siedziały przy stolikach zajęte malowaniem, dwóch starszych chłopców grało w ping-ponga, reszta czekała na swoją kolej, tymczasem śledzili piłeczkę i liczyli sety. W drzwiach stanęło trzech starszych chłopców – jeden z nich krzyknął do siedzącego – łap! i rzucił paczkę proszku „Ixi”, ten złapał i odrzucił do stojących w drzwiach i tak parokrotnie. Prosiłam, żeby przestali. Proszek przelatywał nad głowami dzieci, które śledziły zabawę starszych, w każdej chwili paczka mogła pęknąć i zasypać oczy malców. Udało mi się złapać paczkę w locie. Rozzłościło to chłopaków. Któryś groźnie krzyknął pod moim adresem:

– Niech odrzuci, bo pożałuje!

Jednocześnie zobaczyłam nad swoją głową wielki ręcznik frotte, własność wychowawczyni. Przyniosła go dla dzieci, wisiał przy zlewie w kąciu czystości. Ręcznik oparł się o główki siedzących malców. Wrzask piekielny. Wyłączyli światło. Ciemno.

Przycisnęłam kontakt, nic z tego, ktoś wykręcił korki. Wyszłam. Nie zatrzymywali. Chciałam z pobliskiej apteki zadzwonić po milicję. Po drodze rozmyślałam się... Gdybym sprowadziła milicję, nie mogłabym już nigdy wrócić do świetlicy, poza tym mieszkam parę domów dalej, niewykluczone, że mogą walnąć pałką czy kamieniem. Wróciłam do świetlicy. Zaskoczenie. Widno. Dzieci spokojnie malują, ręcznik wisi na swoim miejscu, chłopcy grzecznie odbijają piłeczkę. Spokój. To zajście wywarło na mnie silne wrażenie.

Nie poszłam więcej do świetlicy. Przed wyjazdem z zespołem dziewcząt miałam próby u siebie w domu. Przychodziły na krótko. Przygotowywały się do egzaminów wstępnych do szkół średnich. Potem wakacje, obozy, kolonie i tak przycichło. Nie starałam się o kontakty z dziewczętami. Po paru miesiącach zaczął mnie na ulicy jeden ze starszych chłopców, stałych bywalców świetlicy:

- Dlaczego pani nie przychodzi do świetlicy?
- Chcieliście mi dać „koca”, nie lubię się pchać tam, gdzie mnie nie chcą.
- To były takie wygłupy.
- Czy to mają być przeprosiny?
- No.
- To tak trudno powiedzieć przepraszam?
- A po co? – splunął w bok i odszedł.

„Ziółko” (1983)

Przejęłam się ogłoszonym w Polsce stanem wojennym. Straciłam przytomność, odzyskałam świadomość po trzynastu godzinach pozornej śmierci. Było to niedotlenienie mózgu. Intensywnie leczona, po miesiącu opuściłam klinikę, ale o powrocie do pracy nie mogło być mowy. Nie koniec chorobom, dostałam zapalenia żył lewej nogi, która spuchła od kolana do kostki i miała objętość dużego wiadra. Unieszkodliwiona kompresami leżałam w jednej pozycji. Troskliwie pielęgnowana przez przyjaciół, na początku marca mogłam chodzić na spacer. Właśnie na przechadzce spotkałam opiekunkę klubów seniora w naszej dzielnicy. Zaproponowała zorganizowanie zespołu artystycznego. Odpowiedziałam:

– Nie, nigdy nie będę nic przygotowywała z ludźmi starymi, oni mają już swoje upodobania, nawyki...

Do naszej rozmowy włączyły się dwie kobiety idące do klubu – panie te dogadywały:

– Co tam się przejmować starymi, stary zrobił swoje, staremu już nic nie potrzeba, na co mu rozrywka.

Dopingowana, weszłam z nimi do klubu. Pierwsze wrażenie – szarzyzna; twarze zagubione, posępne, wydały się jednakowe. Dopiero później, przyglądając się, zobaczyłam jak bardzo są różne. Do zespołu zgłosiło się dziewięć kobiet. Kłopot z tekstami. Nie mógł to być program poetycki, bo niektóre panie miały kłopot z uzębieniem. Nie chciałam im odmawiać, a czułam, że nie mam tyle sił. Nie pierwszy to raz korzystałam więc z przyjacielskiej przysługi bibliotekarki WDK Zofii Rozenfeld, która nie tylko pomagała w wyborze tekstów, ale przychodziła po mnie, aby zaprowadzić na próbę, a po ćwiczeniach holowała do domu.

Program „Ja za panią” składał się z tekstów W. Broniewskiego, W. Gołkiewicza, S. Magierskiego, A. Oppmana, J. Szaniawskiego, J. Tuwima, M. Załuckiego oraz „Komedii rybałtowskiej” i humoru dziecięcego z „Wiaderko śpiewa”. Całość pomyślana jako rozmowa w kolejce przed sklepem z mięsem na Starym Mieście w Lublinie. Teatrzyk nazwałyśmy „Ziółko”. Jego kierownikiem został senior H. Kazanowski; dbał o rekwizyty, organizację widowni, rozmowy z władzami. „Ja za panią” prezentowane było kilkakrotnie w bratnich klubach i w czerwcu 1983 roku na Wojewódzkim Przeglądzie Zespołów Artystycznych Klubów Seniora w Lublinie.

Już dawno zaplanowałam sobie, że po skończeniu siedemdziesiątego roku życia, cały miesiąc zajmę się sobą, bez żadnych wypraw i występów. Lipiec postanowiłam spędzić na Roztoczu. W Częstoborowicach zamieszkałyśmy we trzy w schludnym trzypokojowym domku stojącym na wysokiej górze. Odpoczywałam, chodziłam na krótkie spacerunki, zbierałam zioła, których jest tu dużo. Zdawało się, że wszystko już jest dobrze. Zasłabłam. Po powtórny pobycie w szpitalu stwierdziłam, że już nie będę mogła prowadzić nawet tak sympatycznego i karnego zespołu jak „Ziółko”.

Wspomnienia o Barbarze Koterwas

Pani Basia

Miałem wtedy chyba siedem lat. Od paru tygodni siostry zabierały mnie do Pani Basi, Barbary Koterwas, na próby „Latarni”, a może raczej na spotkania z „latarniowcami”. Ale tamta sobota była inna; inna, bo niespodziewanie Pani Basia zaproponowała mi rolę Omola. Następnego dnia miało się odbyć przedstawienie „Poczty” Tagore, a ktoś, kto miał grać tę postać nie mógł przyjść. I tak zostałem Omolem – dla wielu „starych latarniowców” pozostałem nim przez wiele lat. Uczyłem się tych kilku zdań przez pół nocy. Było to dla mnie niezwykle silne przeżycie. Był to też początek mojej znajomości z Panią Basią – znajomości, która trwać miała przez ponad 23 lata, aż do jej śmierci. Potem były inne role, wędrowniki piesze i rowerowe ze spektaklami granymi w remizach, salach wiejskich klubokawiarni, na tak zwanym świeżym powietrzu...

Chyba nikt inny nie wywarł takiego wpływu na moje życie – Pani Basia uczyła mnie patriotyzmu, rozumienia teatru, literatury i muzyki, znaczenia znajomości języków, szacunku dla pracy cudzej i własnej – rzeczy, które dla chłopca w moim wieku wcale nie były oczywistymi wartościami. Ale także uczyła mnie innego spojrzenia na ludzi. Uczyła, że każdemu człowiekowi warto pomóc, że pomoc okazana dzisiaj innym – wróci do nas w potrzebie, czasem z najmniej oczekiwanej strony. I dla mnie właśnie ta strona jej działalności ma największe znaczenie – większe, niż niewątpliwe zasługi dla krzewienia kultury. Pani Basia była wielkim wychowawcą młodych ludzi. Wywarła wpływ na parę pokoleń młodzieży. I dlatego ostatnie słowa na jej nagrobku – „Przyjaciół i wychowawca młodzieży” – są dla mnie najlepszym podsumowaniem tej niezwykłej osobowości.

Tomasz Bylica

Pierwsze spotkanie

Nigdy nie chciałem być członkiem zespołu amatorskiego. Uważałem, że profesjonaliści zrobią to lepiej. Nie sądziłem również, że napisanie krótkiego życiorysu Waleriana Łukasińskiego, przeznaczonego na wystawę „Poznajcie ludzi, od których wzięły

nazwy ulice Lublina”, doprowadzi do tego, że wezmę udział w pracach Amatorskiego Teatru „Latarnia”.

Wystawę organizowała pani Barbara Koterwas. Życiorysy mieli przygotować pracownicy Chemicznej Spółdzielni „Permedia” w Lublinie. Pisali wszyscy: robotnicy, personel techniczny i administracja. Pisanie życiorysów szło nam wszystkim bardzo opornie, ale to nie zniechęcało pani Basi: prosiła, namawiała. W końcu doszedłem do wniosku, że pani Basia nie ustąpi. Napisałem to, żeby mieć wreszcie święty spokój. I tym razem pomyliłem się. Pani Basia uznała, że mogę przydać się w zespole. Dalsze wymigiwanie się nie miało sensu, pani Basia była uparta i nie rezygnowała zbyt łatwo.

Zaczął się od poprawiania tekstów przeznaczonych na wystawę, a napisanych przez inne osoby. Potem przyszła następna wystawa o Powstaniu Warszawskim. Tym razem pani Basia nie musiała mnie namawiać. W tamtych czasach mówienie o powstaniu było zakazane, więc kiedy władze w ramach chwilowej „odwilży” pozwoliły, pani Basia natychmiast podjęła decyzję o przygotowaniu wystawy. Pamiętam jak z książek o powstaniu, wydanych po raz pierwszy, wycinaliśmy zdjęcia i naklejaliśmy na tekturę pokrytą płótnem, Moje zadanie polegało na przygotowaniu krótkich informacji, korespondujących ze zdjęciami. Ktoś inny przepisywał te teksty. Zapytałem panią Basię, czy jej nie szkoda tych pięknych albumów, wydanych w niewielkim nakładzie. Odpowiedziała pytaniem:

– A jest pan pewien, że władze ponownie nie zakażą mówić i pisać o powstaniu? Musimy wykorzystać ten moment.

Wystawa o powstaniu była pomysłowo zrobiona od strony technicznej. Na dwudziestometrowej długości płótnie naklejono kartony o wymiarach 1,5 na 1 m. Bez trudu można je było złożyć, otrzymując olbrzymią księgę, łatwą do przenoszenia i rozstawienia na przykład w remizie strażackiej. Sposób przygotowania wystawy był bardzo ważny, ponieważ przekazywano ją ze wsi do wsi już bez naszego udziału! Taka „samowędrująca” wystawa.

Muszę przyznać, że nie znam nawet połowy osób, z którymi pani Basia współpracowała. Miała wielu przyjaciół i znajomych, ale największym Jej przyjacielem i towarzyszem był cel, któremu poświęciła całe swoje życie: być z ludźmi i żyć dla ludzi.

Władysław Gołkiewicz

Mały Napoleon

Barbara Koterwas, „Nasza Pani Basia” z istic napoleońską strategią, a jednocześnie oddaniem dla spraw społeczności, wypełniała działaniem swoje pracowite, niełatwe życie. Żołnierz Armii Krajowej. Twórca wielu teatrzyków dziecięcych i teatrów skupiających młodzież i dorosłych. Szczególnie jednym z nich się szczyciła – „Latarnią”. I ja miałem to szczęście zaliczać się do grupy „latarniowców”, z którą wędrowaliśmy po wioskach Lubelszczyzny i osiedlach robotniczych.

Była naszym reżyserem, projektantem kostiumów i dekoracji, dobierała teksty i kształtowała całość przedstawień. Byliśmy więcej niż trupą teatralną. Razem z Małym Napoleonem nieśliśmy artystyczne słowo tam, gdzie często nie docierało radio i prasa.

Nasza Pani Basia! Oddana bez reszty tym, którzy byli w potrzebie. Dziś pozostała we wspomnieniach z zapisaną drobnym pismem kartą DOBRA swojego ŻYCIA.

Zbigniew Józwik

Walczyć, nie ustępować

Pani Barbara Koterwas – na początku jeszcze druhna Basia – pojawiła się w moim życiu u progu roku 1947. Uczestniczyła w naradzie drużyny harcerskiej w gimnazjum im. Unii Lubelskiej. Stałam na korytarzu; podeszła do mnie i zapytała, czy zechciałabym pracować przy hufcu przez nią prowadzonym w specjalnej jednostce o charakterze sanitarno-edukacyjnym. Zgodziłam się bez wahania – tym bardziej że na tej właśnie naradzie otrzymałam naganę za brak subordynacji. I tak się zaczęło.

Była niskiego wzrostu (w pierwszej chwili nie zauważyłam, iż jej plecy nie były proste), ubrana w mundur harcerski i granatowy beret. Pamiętam oczy koloru szaro-błękitnego, o spokojnym i stanowczym spojrzeniu. Budziła ogromne zaufanie. Cechowało ją coś, co można określić wielkim szacunkiem dla rozmówcy. Myślę, że tym właśnie pozyskała sobie nas wszystkich w jednej chwili i na zawsze.

Dzisiaj, kiedy myślę o jej niedługim przecież życiu, nie mogę wyjść z podziwu, ile zdążyła dokonać, jak wielką miała energię i siłę, jaką koncentrację. Jeśli nawet nie we wszystkim brała osobisty udział, to dawała początek lub patronowała inicjatywom, które

potem rozwijały się pod kierunkiem innych ludzi. A czy wszystko jej się udawało? Pamiętam świetlicę dla dzieci przy Lubartowskiej. Zaczęło się dobrze. Ale pewnego dnia dzieci ją obrażyły. Bardzo cierpiała z tego powodu.

Do mniej udanych dokonań zaliczyłabym także jej pamiętniki (choć jest to wyłącznie moja prywatna opinia). Przyjeżdżała kilkakrotnie do Warszawy, aby mi je czytać. Było to dla mnie bardzo bolesne. Obserwowałam, jak z pełnych fantazji i nawet niekiedy przesady, oddających ducha jej życiowych przygód – stawały się coraz bardziej chude, obiektywne, sprawozdawcze, a przede wszystkim bezosobowe.

Natomiast z inicjatyw, które przetrwały, i – choć może w innej formie – po dziś są kontynuowane, a w swoim czasie były prawdziwie nowatorskie, wymienię jedynie parę. Pani Basia zakupiła specjalny sprzęt i nauczyła nas pisma Braille'a. Przepisywaliśmy różne teksty potrzebne dla klubu ociemniałych kombatantów, przeważnie AK-owców. Organizowała dla nich wykłady i wieczory literackie. Niekiedy brałam w nich udział.

Przygotowywaliśmy pierwsze w powojennym Lublinie tablice informacyjne o historii kościołów i zabytkach sztuki sakralnej w ich wnętrzach. Teksty pisał Królik (Jerzy Konarzewski), a reszta pod kierunkiem Ryśka Nowakowskiego przepisywała je, oprawiała w ramki i zawieszała w przedsionkach.

Na terenie województwa lubelskiego urządzała kursy higieny i pierwszej pomocy. Pogadanki przygotowywali przyszli lekarze, głównie Kazio Klamut, wówczas student medycyny. Nasza grupa wygłaszała je i przeprowadzała ćwiczenia praktyczne. Wiem, że wielu uczestników tych kursów zdało egzaminy państwowe i pracowało w służbie zdrowia. Akcją tą byłam przejęta do tego stopnia, że zaniedbałam przygotowania do matury i bałam się pójść na egzamin pisemny; na polecenie dyrektora do szkoły musiał przyprzeprzeździć mnie woźny...

Tym, co ogromnie związało mnie z panią Basią, był teatr. Zaczęło się od „Jaskółki”, działającej w okrągłej przybudówce nad restauracją „Europa”. Przedstawienie „Krakowiaków i Górali” akcentowało treści patriotyczne. Potem wystawialiśmy specjalnie na tę okazję pisane „sztuki”, których celem była prezentacja zasad higieny i sposobów udzielania pierwszej pomocy. Ich wspaniałymi autorami byli Kazio Klamut i Tyszkiewicz. Kukiełki robiła Lidka Samborska (dzisiaj Stanowska), melodie piosenek pisał magister Magierski, a potem jego syn Jaś. Wśród aktorów znajdowali się m.in. Bajbus (Zbigniew Baczyński), Hubert (Jadzia Kincelówna dzisiaj Bednarska), Jaś Magierski i ja. Był to załączek teatru „Latarnia”, który później objeżdżał w czasie wakacji wsie Lubelszczyzny i dawał przedstawienia dla miejscowej ludności.

Nigdy niestety z nimi nie byłam, lecz wybrałam się raz, jeszcze z zespołem „Jaskółki”, na „tourné” po obozach harcerskich na Mazurach z lekcją poglądową o groźbie chorób zakaźnych. Pamiętam, przyjeżdżamy do Pup Szerokich i mamy przesiąść się „na Pupy Wąskie”. Zajeżdża kolejka, a my pokładamy się ze śmiechu i nie jesteśmy w stanie wsiąść do wagonu. Gdyby nie uprzejmość maszynisty, który cierpliwie czekał, nigdy by się nie odbyły dalsze lekcje pokazowe, jak to zarazki wędrują i przenoszą choroby...

Takie były początki. Nic więc dziwnego, że pani Basia była jedną z pierwszych osób, które zachwyciły się ideą Teatru Gardzienice Włodka Staniewskiego. Pokochała ich, bo to była jakby realizacja jej myśli teatralnej, ale tym razem na poziomie europejskim.

Pani Basia i jej działalność nie były mile widziane przez ówczesne władze. Była wzywana przez UB, dokonywano przeszukań jej mieszkania, zatrzymywano w areszcie niektórych kolegów. Pamiętam, jak zazdrościłam Hubertowi (Jadzi Kincelównie), że została uwięziona, a ja nie. Co prawda zatrzymano mi świadectwo maturalne i nie mogłam zdawać na studia do państwowej uczelni, ale, jak się domyślam, mogły być po temu i inne powody. Muszę jednak podkreślić, że pani Basia nigdy nie wytwarzała atmosfery konspiracji – wszystkie nasze działania były zupełnie naturalne i absolutnie konieczne. Robiło mi się tylko przykro, gdy słyszałam, że spaliła kolejną porcję prywatnych listów – a pięknie opisywałam jej różne warszawskie „patriotyczno-ideologiczne” przygody...

Do realizacji swych zamiarów zwykła była wciągać w sposób prawdziwie bezwzględny innych ludzi. Formułowała nie prośby, lecz polecenia, które spełnialiśmy posłuszni jej żelaznej woli nie bacząc na własne zahamowania, zmęczenie albo okoliczności. Kiedyś przyjechałam do Lublina na jeden dzień – pani Basia na mój widok powiedziała:

– Idziemy do magistra Magierskiego. Powiesz Korę z „Nocy listopadowej” i Marię z „Warszawianki”. To są jego ostatnie dni.

Leżał na wysoko uniesionych poduszkach – mówiąc drżałam, ale wiedziałam, że nie mogę sprawić zawodu ani pani Basi, ani Jemu. I tak, jakby w imieniu naszej „Jaskółki”, której zawsze pomagał, pożegnałam tego wspaniałego człowieka.

Innym razem pani Basia zadzwoniła do mnie z dworca:

– Przyjechałam właśnie z młodzieżą do Warszawy i za chwilę przyjedziemy do ciebie przenocować.

Mieszkałam z córeczką przy ul. Tamka w dwu niedużych pokojach. Drzwi się otwierają, wchodzi pani Basia, potem dziewczynka, potem dwóch chłopców, każdy z harcerskim plecaczkiem, potem... Pytam:

– Ile was będzie?

– Razem dwanaścioro, ale się nie martw, mamy śpiwory i kanapki, zmieścimy się.

Za kilka dni okazało się, że sąsiad z dołu złożył skargę do administracji donosząc, że pani Nagórna umyślnie późnym wieczorem piętnaście razy spuszczała wodę w toalecie, a następnego ranka aż razy trzydzieści. Otrzymałam w tej sprawie pismo...

Zdarzało się i tak, że wracając do domu w Warszawie, po spektaklu, zastawałam panią Basię przy stole z zeszytami:

– Mamy parę godzin do rana, skomponujemy nowy scenariusz dla „Latarni”, a pani Szychowa przepisze jutro o dziesiątej – oczywiście w Lublinie.

I zabierałyśmy się do pracy. Zawsze wiedziała dokładnie czego chce i do kogo przedstawienie ma być adresowane: do chłopców, chorych dzieci czy młodzieży na wakacjach. Ode mnie oczekiwała tylko tego, że wybiorę odpowiednie utwory i nadam całości ostateczny szlif.

Potrafiła być odpowiedzialną matką, czułą córką i wierną przyjaciółką. Wychowała, wykształciła i uformowała Tomka Bylicę. Odbyło się to za zgodą jego rodziców. Tomek mówił do niej zawsze: „Pani Basiu”, a jednak łączyła ich głęboka, rodzinna miłość.

Matka pani Basi – Stefania Koterwas, była kobietą wysoką i przystojną, odznaczała się wielką godnością. Obie z córką były w czasie okupacji łączniczkami AK. Po wojnie nigdy się nie ujawniły. Podczas przesłuchań w UB pytane o „Kusę” (pseudonim pani Basi) odpowiadały, że nigdy o nikim takim nie słyszały. Matka i córka ogromnie były zaprzyjaźnione. To pani Stefania uczyła małą Basię literatury, rachunków, a przede wszystkim samodzielności i wytrwałości, kiedy ta przez dziewięć lat leżała unieruchomiona w łóżku. Ukształtowana intelektualnie przez matkę, całe życie dużo czytała i nikt z nią obcujący nie mógł przypuszczać, że nie ma wykształcenia uniwersyteckiego.

Matka rozumiała jej „szaleństwo”. Troszczyła się o nią do końca. Kiedy z moją małą Kasią poszłam pożegnać chorą panią Stefanię, powiedziała:

– Basia nie wie, że umieram. Jak ona sobie z tym poradzi.

Po jej śmierci pani Basia otworzyła szafę. Wisiało tam przygotowane czarne ubranie i karteczka ze świeżą datą: „Trumna znajduje się na strychu”.

Z perspektywy czasu widać, że społeczne, pedagogiczne i artystyczne inicjatywy pani Basi miały szeroki zakres i dalekosiężne perspektywy. Jednocześnie znajdowała czas i serce na bardzo osobiste kontakty. Była przyjaciółką wierną, dyskretną i wyłączną dla każdego z nas. Umiała znaleźć się blisko w najtrudniejszych chwilach. Razem ze mną przeżywała narodziny moich dzieci: Kasi, Manuela i Miguela. Była ze mną w czasie śmierci Wojtka Nagórnego, młodego naukowca, ojca Kasi, a mojego męża. Kiedy urodził się Manuel, a

potem Miguel, niepokoiła się o ich polskość (bowiem ich ojciec, mój drugi mąż, to Hiszpan – Victor Ferreras Tascon). Kilkakrotnie wyjeżdżała w lecie z całą moją trójką do Kazimierza Dolnego i Puszczy Kampinoskiej; dzieci przechodziły wtedy wielki kurs historii Polski... Asystowała mi i służyła radą przy opracowywaniu wielu moich ról teatralnych. Szimenę w „Cydzie” nagrała mi nawet na taśmę.

Krąg jej przyjaciół był bardzo szeroki. Wiem, że nie byłam wyjątkiem. Mam poczucie, że ukształtowały mnie trzy kobiety: pani Basia, profesor Irena Sławińska – teatrolog i Zofia Małynicz – aktorka. Pani Basi zawdzięczam między innymi i to, że traktuję swój zawód jako powołanie, jej osoba była dla mnie wzorem, że można przezwyciężyć ułomność, chorobę, brak środków materialnych. Że nie trzeba zawsze z pokorą i poddaniem wszystkiego znosić, ale walczyć i nie ustępować.

Danuta Nagórna

Barbara Koterwas... Dla mnie to po prostu Pani Basia. Zawsze pełna energii, woli działania. Miała wielu przyjaciół. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek rezygnowała, gdy była przekonana, że sprawa jest słuszna. Ja znałem panią Basię z ostatnich lat jej życia. Właśnie na zgrupowaniu w Gardzienicach poprosiła mnie, abym jesienią zajął się jej wychowankiem. Chodziło o lekcje angielskiego, ale także o moje z nim przebywanie. Zacząłem odwiedzać jej mieszkanie i wkrótce stałem się tam częstym gościem. Dużo rozmawialiśmy o mnie; o teatrze, o sprawach, którymi pani Basia właśnie się zajmowała. Były to oczywiście kwestie związane z jej pracą teatralną i wychowawczą. Czasami opowiadała o swoim życiu. Nieczęsto się to jednak zdarzało.

Jej prostoliniowość w myśleniu i działaniu wydawała mi się początkowo naiwnością. Przekonałem się jednak, że jest to sposób życia pani Basi i metoda Jej pracy z ludźmi: metoda skuteczna i sprawdzona. Stałem się częścią jej świata, poznawałem ludzi jej bliskich, byłych członków teatrów „Latarnia”, „Jaskółka”, „Semaforek”, byłych żołnierzy Armii Krajowej, działających z panią Basią w konspiracji. Wszyscy, równie jak pani Basia, prawi i uczciwi. To się wyczuwało w sposobie myślenia, bycia, mówienia o sprawach ważnych. Jej świat był po prostu taki. Kto był inny – musiał odejść.

Oczywiście rozpoczynając pracę teatralną, na przykład z dziećmi z Lubartowskiej, pani Basia musiała ten swój czysty system wartości dopiero wprowadzać. Wymagało to i wielkiej cierpliwości, i prawdziwej mądrości. Czasami posługiwała się drobnymi fortelami, aby osiągnąć zamierzony cel. Obdarzała na przykład zaufaniem w jakiejś sprawie któregoś z najbardziej niesfornych członków zespołu, czyniła go odpowiedzialnym za pracę grupy, a ten starał się bardzo, by wywiązać się z powierzonej mu roli. W ten sposób włączał się w pracę grupy i stawał się filarem zespołu.

Pamiętam jej pisanie wspomnień. Po napisaniu jakiegoś fragmentu czytała mi go i pytała, co o nim sędzę. Uważała, że za dużo pisze o sobie. Zmieniała więc kilkakrotnie fragmenty już napisane. Ciągle była z siebie, jako autorki, niezadowolona. Nie pomagało moje przekonywanie, że nie powinna umniejszać swej roli w dokonaniach zespołów. Jak wszystko, czego się podejmowała, tak i to chciała zrobić dobrze. Kosztowało ją to mnóstwo pracy. Codziennie wyznaczała sobie, ile tego dnia ma napisać i za wszelką cenę starała się zadanie wypełnić.

Pani Basia nie lubiła „posiadać”, nie przywiązywała się do przedmiotów. Traktowała je jako środek pomocny w osiągnięciu celów ważniejszych. Podczas kursu TKT w Gardzienicach, gdzie poznałem panią Basię, zniszczeniu uległa moja gitara. Nie miałem pieniędzy na kupno nowej, a potrzebowałem jej do spektaklu. I wtedy pani Basia zaproponowała, że da mi pieniądze na kupno instrumentu. Byłem zaskoczony. Znamy się raptem dwa tygodnie, a tu ktoś proponuje mi 1000 złotych na nową gitarę. Nie chciałem się zgodzić. Usłyszałem:

– Weź, ale pamiętaj: gitara ma służyć dobrej sprawie, zgoda?

Gdy na prośbę pani Basi śpiewałem w Klubie Seniora na Starym Mieście – gitara była ze mną.

Waldemar Sidor

Panią Basię pamiętam jako małego-wielkiego człowieka. Przypominam sobie szlachetność urody jej twarzy, szlachetność i mądrość jej spojrzenia. Zresztą to nie tylko moje spostrzeżenie, to jest spostrzeżenie wielu innych ludzi (...). Była to kruszynka fizyczna, a równocześnie ktoś niezwykle mocny, potężny duchem.

Była tu u początków Gardzienic. Przyjechała na dwu-, trzytygodniowy kurs, który prowadziłem w pałacu w Gardzienicach, pod auspicjami Towarzystwa Kultury Teatralnej, którego ona była członkiem. Przygotowywałem Rabelais'go „Spektakl wieczorny” i zastanawiałem się, jak zrobić oświetlenie. Myślałem o pochodniach, ale w tym czasie były one towarem strategicznym, bardzo trudno dostępnym (...). Zastanawiałem się na głos, a na to pani Basia, tak jak to ona, podeszła bardzo blisko do mnie (bo ona zawsze bardzo blisko do człowieka podchodziła), popatrzyła z dołu i powiedziała:

– Wodzu (później przez cały czas naszej znajomości tak mnie tytułowała), wodzu, ja mam takie lampiony.

Pomyślałem sobie – katastrofa, teraz dopiero „będą schody”. Wiedziałem, że pani Basia prowadziła teatr wędrowny, jeździła po wsiach, i mój Program Wiejski prawdopodobnie zrymował się z jej dawniejszymi poczynaniami. Poczula – myślę – „pokrewieństwo idei”. Byłem zakłopotany, bo jakie może mieć oświetlenie biedny teatr dziecięcy czy amatorski.

Pani Basia mówi:

– Ja te lampiony zaraz przywiozę.

– A gdzie Pani ma te lampiony?

– U siebie w domu.

Lampiony kojarzyły mi się z roratami. (...) Pomyślałem: katastrofa, jak my je zastosujemy. Z drugiej strony, odmówić nie sposób. Mówię:

– Pani Basiu, jak pani pojedzie do Lublina? Czym pani pojedzie do tego Lublina?

– Pan się nie martwi, ja to załatwię.

Nie wierzyłem, że pojedzie i przywiezie jakieś lampiony, że te lampiony mają jakiś sens. Rzeczywiście za dwie czy trzy godziny przywozi coś, co trudno byłoby nazwać lampionami. Było to takie oświetlenie na naftę, z kagankami, na stojakach. Patrząc, są świetne. Fantastycznie nadają się do naszych celów. Mało tego. One do dzisiaj stanowią pewnego rodzaju relikwię. W naszych magazynach są chronione jako pamiątka po pani Basi i świadectwie jej zmysłu kreacyjnego. (...)

Byłem częstym gościem w jej dziupelce przy Lubartowskiej. Bardzo chciała, żebym tam bywał. Raz na parę tygodni, zapraszała mnie na swoje obiady, przyprawiane wspianiałymi ziołami. Była zbieraczką ziół, z panią Reną Targońską¹⁵ miały swoje upatrzone miejsce między Kazimierzem a Mięćmierzem. Kiedyś mnie tam zaprowadziła, żeby pokazać

¹⁵ Teresa Maria Targońska-Błeszyńska – scenograf, artysta plastyk, wieloletni współpracownik Teatru im. J. Osterwy w Lublinie.

swoje magiczne pole, na którym rosły najlepsze zioła. Zbierała je raz czy dwa razy do roku, suszyła i po to, żeby mnie skusić, żebym przyszedł do niej, mawiała:

– Będzie jeszcze winko z dzikiej róży.

Te zioła i to winko pamiętam jako pewnego rodzaju odczyniania osoby, która umie leczyć. Ona była szamanką, miała chyba dar leczenia dusz ludzkich, ale też ustawiania charakterów, a drobny aspekt, który nam towarzyszył – zioła, też był świadectwem, że rozumiała, jak dusza związana jest z ciałem. Pamiętam, że po tych obiadach czułem się zawsze lekko (...)

Mawiała, że mocnym wrogom nie należy wydawać otwartej bitwy. To wbrew całemu polskiemu mesjanizmowi, o który można byłoby ją posądzać, jako że cała była ukuta z rdzenia polskiego patriotyzmu, jednak nie myślała kategoriami straceńczymi, to znaczy wyjść i wykrwawić się, dać się unicestwić dla chwilowego aplauzu. Mówiła, że po to, żeby robić swoje, trzeba umieć przeżyć, trzeba umieć żyć. Umieć żyć długo i umieć trwać wiernie przy swoich ideach. (...)

Widzę ją jako człowieka, który ma rodzaj wewnętrznego promieniowania, którego siła sprawcza bierze się z wymiany emocji, z czegoś szalenie subtelnego, nienazwanego, między jednym a drugim człowiekiem. Dlatego widzę ją jako osobę, która podchodzi bardzo blisko drugiego człowieka (...) patrzy w oczy i zmusza do patrzenia bardzo uważnie, w tę piękną szlachetną twarz. Widzę ją, jako kogoś, kto jest fizycznie bardzo blisko, kogoś, kto chce wykonać taki gest, który jest obietnicą wszelkiej możliwej pomocy, wszelkiej możliwej opieki, wszelkiej możliwej troski (...), a jednocześnie kogoś, kto oczekuje troski i osłony. (...)

W momencie, kiedy u nas bardzo podwyższała się temperatura (bo zawsze ta praca była jakoś szalenie napięta ze względu na ciągłe trudności (...), jak były takie momenty napięć i ja musiałem chłodzić swój temperament, żeby nie popuścić cugli (żeby nie pękły wędzidła) (...) prosiłem, żeby pani Basia przyjechała i była tutaj. Przy niej nie mogłem popuścić cugli, nie mogłem powiedzieć niczego, ani zrobić czegokolwiek, co zadrasnęłoby porcelanową strukturę jej serca, jej duszy. Miewałem wtedy takiego anioła przy sobie. (...) Była może ona aniołem stróżem, a przy aniele stróżu człowiek nie przeklnie, przy aniele stróżu człowiek nie popełni czegoś, za co potem sumienie miałoby go dręczyć, przy aniele stróżu człowiek nie zrobi gestu, który miałby zranić. (...)

To był mały-wielki człowiek, to była kruszynka, której warunki – ktoś mógłby powiedzieć – w ogóle nie predestynowały do liderstwa. Cały cud, cała niezwykłość polegały na tym, że była jednak liderem, była jednak animatorem, trzeba więc raczej mówić o Jej

wielkim duchu, sile charakteru, (...) o niezwyklej umiejętności pozyskiwania sobie uczuć ludzkich (...) ¹⁶.

Włodzimierz Staniewski

Wypracowanie

Chciałbym napisać o człowieku wyrozumiałym, miłym, a mianowicie o pani Barbarze K. z Lublina. Jest to osoba o interesującym życiu. Więc chciałbym przedstawić je, aby było wzorem dla innych, nawet młodych i zdrowych osób.

Pani Barbara, jako 9-letnia dziewczynka ciężko zachorowała na kręgosłup i 10 lat spędziła w łóżku. Całe swoje wykształcenie zawdzięcza matce, która nauczyła ją czytać, pisać, liczyć, a resztę własnej inteligencji i przyjacielom, wśród których znajdują się wybitni pisarze, malarze i aktorzy. (...) W czasie wojny pani Basia wraz z matką były łączniczkami AK. Po tragicznej śmierci matki pani Barbara pomagała jeńcom z obozu koncentracyjnego na Majdanku. Zorganizowała służbę gotowania zup, które oficjalnie – za zgodą Niemców – dostarczała głodnym. Gdy wybuchła epidemia tyfusu nasza bohaterka wrzucała do jenieckiego pożywienia różne zioła, gdyż hitlerowcy nie zezwalali na przynoszenie lekarstw, tym sposobem ocaliła wiele osób. Po wojnie pani Basia pracowała w Harcerskiej Służbie Zdrowia, gdzie poznała moją mamę i skąd wywodzi się przyjaźń nasza. Założyła też amatorski teatr „Latarnia”, który miał i ma za zadanie skupiać i kształcić młodzież robotniczą. Zorganizowała świetlice dla dzieci w robotniczych dzielnicach Lublina. Jej wychowankowie – ludzie, z których nie byłoby pożytku – są teraz architektami, lekarzami, aktorami teatralnymi (m.in. moja mama) lub rzetelnymi pracownikami fizycznymi ¹⁷.

Manuel FerrerasTascon

¹⁶ Fragmenty wywiadu nagranych dnia 9 lipca 1999 r. w Gardzienicach.

¹⁷ Powyższy tekst jest pracą domową Manuela Ferrerasa Tascon, napisaną w piątej klasie szkoły podstawowej, w roku szkolnym 1980/81. Choć młody autor, nie znając wszystkich faktów, nieco mijał się z prawdą, to tekst ten jest dobrym przykładem, ilustrującym sposób oddziaływania Barbary Koterwas na swoich młodych przyjaciół. Autor, absolwent Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego, obecnie jest dziennikarzem.

Podziękowanie

Pragnę złożyć serdeczne podziękowania wszystkim osobom, których pomoc i zaangażowanie umożliwiły publikację wspomnień Barbary Koterwas: Jadwidze Bednarskiej, Tomaszowi Bylicy, Władysławowi Gołkiewiczowi, Barbarze Góreckiej, Zbigniewowi Jóźwikowi, Zofii Kietlińskiej, Danucie Kłosowskiej, Piotrowi Kłosowskiemu, Janowi Magierskiemu, Danucie Nagórnej, Zofii Rozenfeld, Waldemarowi Sidorowi, Włodzimierzowi Staniewskiemu, Teresie Targońskiej, Katarzynie Tkaczyk, „Scriptores Scholarum” i jego redaktorowi naczelnemu Sławomirowi J. Żurkowi, oraz tak przychylnemu i wyrozumiałemu wydawcy Norbertowi Wojciechowskiemu, jak również wielu innym osobom, których nazwiska nie zostały tu wymienione.

Anastazja Śniechowska

Spis treści

Przedmowa.....	4
Dzieciństwo.....	5
Zupy (1939)	9
Koński szczaw (1939).....	12
Opaska (1939).....	13
Konspiracja (1940–1944).....	16
Szkolenie sanitarne (1942–1944).....	19
Balbina (1944–1949)	23
„Jaskółka” (1945–1950).....	25
Gawędy i wieczornice (1946–1961)	30
„Latarnia” (1953–1961).....	32
Wystawa: życie i twórczość Adama Mickiewicza (1955).....	40
Wystawa: „Lublin miasto historyczne” (1955).....	42
„Brązowa Piętnastka” (1957–61).....	45
Wódka (1958)	47
Wystawa: „Powstanie Warszawskie” (1959).....	49
Wóz (1959)	51
Teatr jednego widza	57
„Mała Latarnia” (1960–1971).....	60
„Semaforek” – wędrówka I (1960)	65
„Semaforek” – wędrówka II (1962).....	69
Podgrodzie (1960–63).....	74
Nim kurtyna pójdzie w górę (1961).....	78
Radar (1964–1965)	80
Żywe słowo (1966–1968)	86
Hanka (1968–70)	88
Lubartowska 24 (1975–78).....	91
„Ziółko” (1983).....	96
Wspomnienia o Barbarze Koterwas.....	98
Pani Basia	99
Pierwsze spotkanie	99

Mały Napoleon	101
Walczyć, nie ustępować	101
***	105
***	106
Wypracowanie	109
Podziękowanie	110